

# RODZINA

TYGODNIK

NR 4 (342) ROK VIII. WARSZAWA 22.I.1967 CENA ZŁ 2

KATOLICKI



Fot. Zofia Tomaszewska

## WOLNOŚĆ RELIGII W HISZPANII

Niejednokrotnie już pisaliśmy, że wolność religii w Hiszpanii jest czystą farsą. Nawet religia rzymskokatolicka, która pozostaje „pod szczególną opieką” państwa nie cieszy się prawdziwą wolnością. Reżim usiłuje i tę dziedzinę podporządkować so-

bie, zaprzęcając do swoich celów i nie dopuścić do jakichkolwiek wolnościowych poczynań. Ani mowa gen. Franco wygłoszona w parlamencie pod koniec listopada ub. r. ani grudniowe referendum nic w tej dziedzinie nie zmieniło.

## SWIECCY KAZNODZIEJE

W wielu Kościołach ewangelicznych w Szwajcarii przyjęła się zwyczaj, że w braku właściwego duszpasterza pewne funkcje kościelne (przewodnictwo w nabożeństwie, głoszenie kazania) powierza się zwykłym wiernym. Tego rodzaju zezwolenia mają charakter jednorazowy i nie obejmują pozwolenia na udzielanie sakramentów św.

Zagadnienie świeckich wygła-

sających kazania w braku wyszkolonych teologów jest ostatnio dyskutowane na oficjalnych zjazdach i konferencjach i najprawdopodobniej zostanie wkrótce rozstrzygnięte wiążąco dla wszystkich Kościołów ewangelickich w Szwajcarii.

W Kościele Metodystów na 27 tys. „urzędowych” kaznodziejów występuje 11 tys. laików.

## MODLITWY O JEDNOŚĆ CHRZEŚCIJAN

W Genewie odbyła się konferencja przedstawicieli różnych kościołów chrześcijańskich, podczas której omawiano zagadnienie wspólnych „tygodni modlitw” o jedność chrześcijan organizowanych w tych kościołach.

Wysunięto dwie daty dla wspólnych modłów: w okresie od 18 do 25

stycznia oraz w tygodniu przed Zielonymi Świątami. Podkreślono ponadto, że modlitwy o jedność chrześcijan powinny stanowić integralną część codziennych modlitw zarówno kościołów chrześcijańskich jak i poszczególnych wiernych i nie należy się ograniczać tylko do ustalonych oficjalnie tygodni.

## KOŚCIÓŁ PREZBITERIAŃSKI O SYTUACJI W AMERYCE

Rada do spraw stosunków międzyamerykańskich Zjednoczonego Kościoła Prezbiteriańskiego poświęciła szczególną uwagę sytuacji w Ameryce Południo-

wej. Uczestnicy Rady podkreślali, że polityka zagraniczna i gospodarcza Stanów Zjednoczonych uniemożliwia przeprowadzenie reform gospodarczych i społecznych w Ameryce Płd. i wskutek tego budzi zrozumiałą nieufność. Pastor J. Coventry Smith podkreślił, że USA uniemożliwiają narodom Ameryki Płd. osiągnię-

cie samodzielności pod względem gospodarczym. Rada zwracała uwagę na konieczność realistycznej oceny „rewolucji” południowoamerykańskiej.

## EKUMENIZM I ZŁOŚLIWA PROPAGANDA

W dzienniku hiszpańskim ABC ukazał się artykuł przestrzegający przed propagandą „ekstremistycznych grup religijnych”. Dziennik stwierdza, że Hiszpanię zalewa istny potop książek, broszur i ulotek, które w niewybredny sposób atakują zasady i dogmaty religii katolickiej. Dziennik zauważa, że propaganda ta pochodzi od grup religijnych, które nie znajdują dla siebie miejsca również w Eklezjastycznej Radzie Kościołów, które są w równym stopniu antykatolickie co i antyprotestanckie. ABC przestrzega przed szkodliwością tej propagandy dla idei zbliżenia i zjednoczenia chrześcijan.

## PRZYSZŁOŚĆ CHRZEŚCIJAŃSTWA W IZRAELU

Arcybiskup melchicki z Galilei J. Hakim w wywiadzie prasowym mówił o przyszłości chrześcijaństwa w państwie Izrael. Przewidywania arcybiskupa Hakima są dość pesymistyczne. Rząd nie czyni wprawdzie przeszkód w nauczaniu religijnym, ale naturalną przeszkodą stanowi fakt, że chrześcijanie melchickcy są Arabami i emigrują z kraju. Z 50 000 chrześcijan w 1965 r. wyemigrowało 250 osób, w 1966 — 2 000, w najbliższym okresie należy się liczyć z emigracją 4 000 chrześcijan. Arcybiskup Hakim zadaje pytanie, czy w tej sytuacji po 10—15 latach będą jeszcze chrześcijanie w państwie Izrael?

Arcybiskup Hakim oświadczył następnie, że współpraca między wyznaniem chrześcijańskimi w Izraelu zacieśnia się coraz bardziej.

## JEDNOŚĆ MISJI CHRZEŚCIJAŃSKICH W JAPONII

W marcu br. odbędzie się w Japonii konferencja przedstawicieli Kościołów zjednoczonych w Narodowej Radzie Chrześcijańskiej, poświęcona zagadnieniu jedności misji. Wśród misjonarzy chrześcijańskich panuje powszechne przekonanie, że najważniejszą przeszkodą w szerzeniu wiary chrześcijańskiej jest niezgoda między chrześcijanami i różnorodność dróg działania. Konferencja ma szukać dróg i sposobów dla ujednolicenia działalności misyjnej.

## BUDOWA KOŚCIOŁA W MOCZYDLE-ŻARKACH

Korzystając z pobytu ks. bpa J. Pękali i ks. bpa T. Majewskiego w Stanach Zjednoczonych, w Scranton zorganizowano zebranie dla omówienia sprawy budowy kościoła w Moczydle-Żarkach — miejscu urodzenia ks. bpa Hodura. W zebraniu wzięł udział ks. bp L. Grochowski, ks. bp J. Sołtysiak oraz działacze Spójni: prezes W. Juszkiewicz, sekretarz T. Rysz, mec. A. Kinowski i in. Zebrani postanowili zebrać na budowę świątyni 50 tys. dolarów i rozpocząć ją w 1967 r.

## UPSALA 1968

Ogólne Zebranie Światowej Rady Kościołów odbędzie się w 1968 r. w Upsali. Pracami przygotowawczymi kieruje Duńczyk J. Thomson.

Przygotowaniem kościołów szwedzkich kieruje dr Lars Thunberg, znawca Nowego Testamentu i twórcza szwedzkiej liryki religijnej. Kościoły szwedzkie składają „ekumeniczną ofiarę”, która ma umożliwić delegatom kościołów biedniejszych przybycie na konferencję w Upsali.

Na okładce „Głowa Pięknej Madonny” — Wrocław. Fot. Zofia Tomaszewska



Wierni słuchają mszy świętej



## Uroczystości w Radomiu

Radomska parafia Podwyższenia Krzyża św. obchodziła dwuletnią rocznicę swojego istnienia. Z tej okazji przybył jej pierwszy duszpasterz, obecnie administrator diecezji krakowskiej ks. Benedykt Sęk w towarzystwie ks. mgr. B. Lorkowskiego.

U progu świątyni witał gościa proboszcz ks. Henryk Buszka wraz z duchowieństwem i wiernymi. Przed mszą św. odbyła się instalacja ks. H. Buszki na proboszcza parafii radomskiej. Następnie ks. administrator B. Sęk odbrał mszę św., podczas której kazanie wygłosił ks. mgr B. Lorkowski.

Po mszy św. przemówił ks. Administrator. Wspomnił pierwsze chwile, kiedy rozpoczął pracę duszpasterską w Radomiu. Niełatwe to były czasy. Ale błogosławieństwo Boże i pomoc wiernych sprawiły, że parafia rosła pod względem liczebnym i już wkrótce obok kościoła parafialnego można było uruchomić kaplicę filialną.

Mówca zachęcał wiernych do pracy nad rozwojem polskiego katolicyzmu i modłami za Ojczyznę zakończył uroczystość.

Ks. adm. B. Sęk instaluje nowego proboszcza

Ks. proboszcz H. Buszka



# PRZEDPOŚCIE

## EWANGELIA

(św. Mateusz 21,1—16)

Onego czasu: rzekł Jezus uczniom swoim tę przypowieść: Podobne jest królestwo niebieskie gospodarzowi, który wyszedł bardzo rano najmować robotników do winnicy swojej. A uczyniwszy z robotnikami umowę po denarze za dzień, posłał ich do winnicy swojej. I wyszedłszy ok. godziny trzeciej, ujrzał innych stojących na rynku bezczynnie. I rzekł im: Idźcie i wy do winnicy mojej, a co będzie sprawiedliwe, dam wam. A oni poszli. I znowu wyszedł ok. szóstej i dziewiątej podziny, i uczynił podobnie. Wyszedł jeszcze ok. jedenastej i znalazł innych stojących, i powiedział im: Czemu tu stoicie próżnując cały dzień? Mówią mu: Bo nas nikt nie najął. Rzekł im: Idźcie i wy do winnicy mojej. A gdy nadszedł wieczór, rzekł pan winnicy rządcy swemu: Zwołaj robotników i daj im zapłatę, począwszy od ostatnich aż do pierwszych. Gdy tedy przyszli, którzy ok. jedenastej przybyli, otrzymali po denarze. A gdy przyszli także pierwsi, mniemali że więcej otrzymają, ale i oni otrzymali po denarze. A wziąwszy szemrali przeciw gospodarzowi, mówiąc: Ci ostatni tylko jedną godzinę pracowali, a uczyniłeś ich równymi nam, którzyśmy znosili ciężar dnia i upatu. A on odpowiadając jednemu z nich rzekł: Przyjacielu, nie wyrządzam ci krzywdy. Czyż się ze mną nie umówił za denara? Weźmij, co twoje a idź, chcę także i temu ostatniemu dać jako i tobie. Czyż mi nie wolno uczynić, co zechcę? I czyż złym patrzysz okiem na to, że ja dobry? Tak ci ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi. Bo wielu jest wezwanych, a mało wybranych.



kres Przedpościa został wyodrębniony w liturgii Kościoła na przełomie wieku VI i VII. Składa się on z trzech kolejno po sobie następujących niedziel zwanych Siedemdziesiątnicą, Sześćdziesiątnicą i Pięćdziesiątnicą, lub wg nomenklatury polskiej: Starozapustną, Mięsozapustną i Zapustną. Liturgia Przedpościa nie ma jeszcze charakteru smutku i cierpienia — tak jak w Wielkim Poście, niemniej jednak kolor szat jest fioletowy, znika radosny hymn „Chwała na wysokości Bogu” i „Alleluja” w Graduale. Jednak na ołtarzu pozostają jeszcze ozdoby i kwiaty. Treść modlitw, perykop ewangelicznych i lekcji jest przepojona bólem rodzącym się ze stwierdzenia grzesznego stanu ludzkości i każdego poszczególnego człowieka. Ewangelie tego okresu zachęcają do pracy nad zbawieniem, przestrzegają przed marnowaniem łaski Bożej, pobudzają do głębokiej i bezgranicznej wiary. Człowiek sam o własnych siłach może wiele, ale daleko więcej może dzięki łasce Bożej. Stwierdzenie stanu grzechu jest równocześnie stwierdzeniem braku łaski uświęcającej, której dawcą jest Jezus Chrystus — Zbawiciel. On to swymi cierpieniami i śmiercią krzyżową na powrót odzyskał dla człowieka utraconą godność dziecka Bożego. W ten sposób Przedpoście wiąże się z Wielkim Postem — okresem rozpamiętywania Męki Pańskiej i Tajemnicy Odkupienia.

Ewangelia Siedemdziesiątnicy rozwija myśl o Bożym powołaniu.

Gdy słyszymy słowo „powołanie”, od razu myślimy o powołaniu do kapłaństwa. Tak się utarło. Tymczasem każdy człowiek powołany jest przez Boga, a powołany do zbawienia swej duszy. Tak właśnie należy rozumieć tekst dzisiejszej perykopy ewangelicznej.

Dwojakie ma dzisiejsza przypowieść znaczenie: najpierw odnośnie do żydów, których Jezus poucza, żeby nie dufali nad miarę w swoje od Abrahama pochodzenie, dla którego mniemali, że błogosławieństwo Boże doczesne, a nadto i niebo ich minąć nie może i tuszyli sobie, że nikt prócz nich

samych zbawienia wiecznego nigdy nie dostąpi. W rzeczywistości zaś z powodu wciąż ponawiającego się odstępstwa ich od Boga i przewrotnego, iście faryzejskiego tłumaczenia sobie prawa Bożego, Królestwo Boże miało im być odebrane, a przeniesione do narodów niegdyś pogańskich i od Abrahama, co do ciała i krwi bynajmniej nie pochodzących. Poucza Jezus Izraelitów, że byli z łaski Bożej powołani, ale z winy swojej nie zostali zaliczeni do wybranych; byli z zamiarów Bożych pierwszymi, ale ze sprawiedliwego wyroku, również Bożego, mieli się stać ostatnimi.

Ale pisarze kościelni Pierwszego Tysiąclecia widzą w przypowieści dzisiejszej również drugie znaczenie, znaczenie indywidualne, według którego praca w winnicy Pańskiej jest pracą nad zbawieniem własnym i bliźnich.

Do tej dwojakiej pracy wszyscy bez wyjątku od pierwszej chwili powzięcia rozumu są powołani i obowiązani; do pierwszej wedle słów Apostoła Pawła: „z bojaźnią i ze drżeniem zbawienie wasze sprawujcie” (Filip 2, 12) — do drugiej, bo Pan Bóg „każdemu z osobną dał rozkazanie o bliźnim swoim”. Ta praca jest najważniejsza, a nawet jedynie niezbędnie potrzebna; bo Jezus powiedział do Marty „Marto, Marto, troszczysz się i fraszujesz około bardzo wiele; ale jednego potrzeba”.

Wszelka praca jest ważna, jeśli jest godziwa. Dlatego pracujemy dla ludzkości, dla państwa, dla ojczyzny, dla kultury, dla postępu wiedzy, dla organizacji społecznych i politycznych, dla najbliższych, dla dzieci, dla siebie samych. Lecz ta praca, ustawiona przez nas, chrześcijan w aspekcie nadprzyrodzonym, w aspekcie wiary jest równocześnie pracą dla pomnożenia korzyści nadprzyrodzonych, pracą nad realizacją naszego powołania do zbawienia osobistego i zbawienia bliźnich.

Nie potrafi drugim dopomagać do zbawienia, kto nie dba i nie pracuje szczerze nad własnym zbawieniem; bo „kto sobie jest złym, komuż innemu dobrym będzie?” Praca ta nad sobą polega głównie na tych rze-

czach: staraj się poznać Pana Boga i prawdę Jego, bo „ten jest żywot wieczny, aby poznali Ciebie samego Boga prawdziwego i któregoś posłał Jezusa Chrystusa”. Bez należytej znajomości wiary św., czyli katechizmu, nie może być mowy o jakiegokolwiek rozumnej pracy nad własnym lub bliźnich zbawieniem. Trzeba przestrzegać przykazania Boże, a chronić się grzechu, czyli jak mówi Apostoł, potrzeba „abyśmy zaprzawszy się niepobożności i świeckich pożywności, trzeźwo, sprawiedliwie i pobożnie żyli na tym świecie, oczekując błogosławionej nadziei i przyjścia chwały wielkiego Boga i Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa”.

„Człowiek się rodzi na pracę, a ptak na latanie”. W raju nawet chciał Pan Bóg, aby człowiek uprawiał ziemię; po utracie zaś raju dał mu pracę, a to ciężką i często niewdzięczną. Czy za pokutę otrzymał tę pracę człowiek — jak naucza Kościół rzymskokatolicki? Nie wydaje się. Praca nie jest pokutą dla człowieka, lecz przywilejem jego jako istoty rozumnej. W tradycyjnym nauczaniu kościelnym podkreśla się tylko wartość wychowawczą pracy, gdy się głosi, że bez pracy najlepszy człowiek nawet nie tylko gnuśnieje, ale psuć się zaczyna; bo jak mówi Pismo św., a potwierdza doświadczenie „wielkiej złości nauczyło próżnowanie”. Dzieci nawet, jeszcze niezdolne do pracy, jeśli nie mają odpowiedniego zajęcia, albo przynajmniej zabawy, z samych nudów uczą się złego i popadają w najgorsze nieraz grzechy. Dlatego to w dzisiejszej przypowieści gospodarz upomina: „Co tu stoicie cały dzień próżnując?” Niestety, zapomniano podkreślić obowiązek pracy i zadowolenie z jej twórczych wartości. Tę cechę pracy podkreśla Kościół Polskokatolicki. Bywają tacy, co to niby pracują, a jednak w samej rzeczy próżnują, bo leniwie robią, albo przy robocie marudzą, albo obierają sobie robotę, która daje pewne możliwości ciągnięcia ubocznych, sprzecznych z prawem korzyści osobistych.

Taka praca i taki do niej stosunek człowieka wierzącego jest grzeszny, niewłaściwy, godny napiętnowania. Klóci się z elementarnym pojęciem sprawiedliwości indywidualnej i społecznej, klóci się z pojęciem patriotyzmu, nie daje trwałego zadowolenia, a w sferze nadprzyrodzonej jest dysonansem właściwie pojętego powołania człowieka.

Nie tego żąda od nas Bóg. Kto wczyta się w ewangelię dzisiejszej niedzieli — ten znajdzie właściwą odpowiedź, jaką powinna być praca prowadząca człowieka do Boga, do realizacji powołania.

Ks. M. P.

## STYCZEŃ

|   |    |            |
|---|----|------------|
| N | 22 | Anastazego |
| P | 23 | Rajmunda   |
| W | 24 | Rafała     |
| Ś | 25 | Pawła      |
| C | 26 | Pauliny    |
| P | 27 | Jana       |
| S | 28 | Walerego   |

# ŻUPY SOLNE WIELICZKI

Kazimierz Wielki podejmując na swym dworze koronowane głowy w dowód najwyższej gościnności organizował dla nich wycieczki do Wieliczki pozwalając zjeżdżać do kopalni. Ceremonia zjazdu była bardzo prosta, o windach przecież wtedy nie miano pojęcia. Królewski gość siadał na desce umocowanej do konopianej liny, i na tej linie rozwijającej się ze zwykłego kołowrotka, jakim dziś z wiejskich studni wyciąga się wiadro z wodą, opuszczał się w ciemną czeluść szybu. Sam zjazd był więc przygodą dającą niemało emocji. Kołowrót i lina długo służyły jako mechanizm zjazdu, wymagający trochę odwagi od pasażera. Odwagi tej zabrakło cesarzowi Austrii Józefowi II,

rolę muzealnego zabytku, niecodziennej zresztą wartości. Zdawałoby się — smutny koniec...

Nic podobnego. Wieliczka znowu staje się głośną, znowu zaczyna być rewelacją, chociaż w zupełnie innym zakresie. Dziś o Wieliczkę mówi się w świecie medycznym jako o rewolucyjnym odkryciu nowych metod leczenia niesprawności dróg oddechowych, zwłaszcza astmy wraz z towarzyszącymi jej schorzeniami. Autorem rewelacji stał się lekarz zakładowy przy Dyrekcji Kopalni Soli doc. dr Mieczysław Skulimowski. Przez szereg lat opiekował się on załogą kopalni i dokonał prostego pozornie spostrzeżenia, że robotnicy zatrudnieni pod ziemią nigdy nie cierpią na choroby dróg oddecho-

Muzeum Żup Solnych w Wieliczkę, gdzie znajdują się urządzenia służące dawniej wielickim górnikom. Na zdjęciu „winda”, którą zjeżdżano niegdyś w głąb kopalni

Żupy solne Wieliczki nie są mniej znakomite jak piramidy egipskie, lecz pożyteczniejsze. Są one chwalebna pamiątką pracowitości Polaków, gdy tamte są świadectwem tyranii i próżności faraonów”. Tak napisał o Wieliczkę francuski podróżnik Le Laboureur. Nie pomylił się francuski turysta. Wieliczka dała początek polskiemu kopalnictwu przemysłowemu, a jej powstanie tradycja ujęła w piękną legendę o pierścieniu św. Kingi. Kopalnia soli w Wieliczkę była oczkiem w głowie wszystkich królów polskich, dawała ona ogromne dochody, niekiedy stanowiące trzy czwarte całości budżetów królestwa. Na dzierżawie żup wielickich robiono fortuny, z małych szlachetek wyrastali magnaci, jak np. Lubomirski z Lubomierza, który tak długo należał do szaraczkowej szlachty, jak długo nie wziął Wieliczki w dzierżawę i na rachunkowej gospodarcze solnymi złożami nie wybił się na czoło polskiej magnaterii. Wieliczka jest kopalnią niezwykłą, w swoim czasie — gdy w XVII wieku zatrudniała 1500 robotników, była największym przedsiębiorstwem w Europie. Wydobytą sól na kilku poziomach wielickiej solarni zabezpieczali komory, zachowywali dawne urządzenia techniczne, dbali o każdy szczegół. W ten sposób przez całe wieki powstawał osobliwy świat, zbudowany ze srebrzyście przezroczystej soli, groty, korytarze, jeziora podziemne, bardzo interesujące dla geologów przekroje geologiczne nawarstwień. Powstało podziemne muzeum, kaplica, sala konferencyjna, mnóstwo ciekawych szczegółów, a wszystko tonęło w absolutnej ciszy, jaka panuje na głębokości kilkuset metrów pod ziemią. Kiedy to podziemne miasto z soli oświetlono odpowiednio rozmieszczonymi ogniami, wydawało się ludziom, że znajdują się w jakiejś bajecznej krainie z kryształów i tęczy. Od dawna więc była Wieliczka miejscem, do którego ściągali podróżnicy i głośnotrotterzy z całego świata. Wprawdzie księgi notujące zwiedzające osoby i osobistości zachowały się dopiero od 1772 r. ale wiadomo, że już



„...osobliwy świat” zbudowany w srebrzyście przezroczystej soli...

który bojąc się urwania liny wolał zejść w głąb kopalni po wąskich i niewygodnych schodkach. Gdyby tak się zachował pierwszy lepszy śmiertelnik, nie oszczędzono by kpin z jego odwagi, ale w postępku cesarza dopatrzono się bohaterstwa i w kronikach zapisano:

„Jaśnie oświecony cesarz miłościwie nam panujący nie dał się skusić na łatwy zjazd, lecz okazał wspaniałą tężyznę fizyczną schodząc po uciążliwych stopniach schodów”.

Jako się zatem rzekło, przez długie stulecia aż do naszych czasów była Wieliczka dostawcą soli i atrakcją. Ale wszystko ma swój kres. Wyczerpały się solne zasoby Wieliczki. Nowe kopalnie i nowe odkryte złoża soli pozbawiają Wieliczkę jej gospodarczego znaczenia, pozostawiając jej wyłącznie

...groty, korytarze, bardzo interesujące dla specjalistów przekroje geologiczne



Podziemne Sanatorium Alergologiczne w Wieliczkę, znajdujące się 200 metrów pod ziemią. Przebywają w nim chorzy na astmie oskrzelowa.



wych, nie męczy ich kaszel i zadyszka. Wtedy zaczął robić doświadczenia. Robotników cierpiących na astmę kierował na pewien czas do pracy pod ziemią. Po pewnym czasie wracali zdrowi. Za czasów Kazimierza Wielkiego uzdrowienie ich przypisywano by dobrym duchom kopalni. Dziś jednak wiadomo, że zbawczą dla astmatyka rolę odgrywa podziemny klimat. Utrzymuje się w nim stale niezmienna pokojowa temperatura, powietrze jest wolne od wielu chorobotwórczych bakterii, i nie ma w nim ani krzyży wilgoci. Z inicyjatywy dr. Skulimowskiego powstało w Wieliczce pierwsze w świecie Naukowe Towarzystwo Klimatoterapii Podziemnej i Oddział Obserwacji. Skrupulatnie prowadzone obserwacje medyczne w niezbytym sposobie potwierdziły tezę dr. Skulimowskiego, że astmę można skutecznie leczyć kopalnianym powietrzem, nie używając mikstur i proszków, nie paląc ziółowych papierosów. Od takiego stwierdzenia był już tylko jeden krok do zorganizowania właściwej praktyki leczniczej. Powstało pierwsze w Polsce Sanatorium Lecznictwa Klimatoterapii i otrzymało nazwę „Kinga”. Dla ścisłości trzeba zauważyć, że Francuzi, Czechosłowacy i Niemcy również mają po jednym sanatorium typu „Kingi”, ale metoda leczenia stosowana przez dr. Skulimowskiego jest prostsza i skuteczniejsza. Bardzo być może, że również powietrze w podziemnej Wieliczce ma jakąś nieodkrytą dotąd właściwość, pozwalającą otrzymywać tak świetne rezultaty lecznicze.

Gdy mówimy o sanatorium „Kingi” to w dużym stopniu wypierzemy fakty. Właściwie „Kinga” — to dopiero załazek sanatorium, które pojawi się w Wieliczce. Ale pojawić się ono musi, sprawa bowiem jest już zbyt głośna i uznana w świecie lekarskim. Trudności organizacyjno-finansowe chyba już wkrótce zostaną pokonane w związku z reorganizacją systemu zarządzania uzdrowiskami wprowadzoną od 1 stycznia br.

Pierwszą kurację przybyli do „Kingi” półtora roku temu. Wyjechali z Wieliczki z doskonałym samopoczuciem, w większości przekonani, że już nie będą potrzebowali dalszego leczenia. Jeśli zaś będą się leczyć, to tylko w „Kindze”.

Jak więc wygląda kuracja w „Kindze”. „Kinga” znajduje się na ziemi i pod ziemią. „Kinga” natomiast to zwykły, niewielki, samodzielny oddział przy przystanku dla wielkich górników. Znajduje się tu trzydzieści łóżek. Chorzy właściwie tylko odpoczywają, bo przecież do leczniczych zabiegów nie można zaliczyć mierzenia temperatury, wydawania posiłków, ani zwyczajnych kąpiel w zwyczajnej łaźni. Chorzy codziennie zjeżdżają pod ziemię, gdzie spędzają całe przedpołudnia lub noc. Na głębokości 200 metrów po ziemię znajdują się dwie skalne pieczary, zwane też komorami. W pieczarach tych — jak w komorach — znajdowała się niegdyś sól. Górnicy rabali sól w „bałwany” (bryły soli) aż opróżnili całkowicie komorę. W tych właśnie komorach ustawiono łóżka dla chorych. Cisza, spokój i kopalniany klimat wracają im zdrowie. Na tym polega cały sekret „Kingi”. Czy podobne efekty można by osiągnąć i w innych kopalniach — jak dotąd nie wiadomo. Wiadomo jednak, że samą „Kingę” można rozbudować. Wyłoniła się więc realna perspektywa rozwoju nowej gałęzi uzdrowisk.

Kopalnia soli w Wieliczce nie umrze więc śmiercią naturalną, zmieni tylko swój charakter, a atrakcją krajoznawczą, jak była i jest, tak i zostanie.

J. WALCZAK

Jedyna chyba kopalnia, w której jak gdyby rekwizyt z dawnych czasów, zauważyć można ciągnącego wózek konia



**S**amotne, tajemnicze wycieczki Mahometa trwały przez dwanaście lat. Samotne? No, może nie tak bardzo; jakby je chcieli widzieć zwolennicy wszelkich niezwykłości, ludzie, którzy sądzą, że wystarczy wyrzec się świata i schronić w odosobnieniu, aby wy myśleć wielkie rzeczy. Samotność daje skupienie umysłu — to prawda — ale z drugiej strony odrywa od jedynej pożytki, na której myśl ludzka może się rozwijać: od społeczeństwa. W całkowitym oddaleniu od bliźnich nawet geniusz przekształca się w szaleńca.

Szaleńcem Mahomet nigdy nie był, a rozmowy z ludźmi — z mądrymi ludźmi, a nie kupcykami trawiącymi czas jedynie na pomnażaniu swego majątku — były mu potrzebne bardziej niż komukolwiek innemu. Przecież Allah, który rozdził się w jego bogatej wyobraźni, miał się stać Bogiem uzdrawiającym właśnie ludzkość! Jakiż on ma być, ów Allah, czegoż będzie żądał od człowieka i co mu obieca w zamian? Czy może inaczej: czego się ludzie po Allachu spodziewają? Sam tylko Mahomet nie mógł dać na to odpowiedzi i musiał innych pytać o zdanie.

W okolicach góry Hira od wielu lat mieszkali pustelnicy zwani hanifami. Byli to ludzie, których również poczęły mierzić prymitywnopoglądy mieszczan z Mekki; drażniła ich zwłaszcza wiara w kamienne bożki, ustawione przed świątynią Kaaba. Rozumieli, skąd się ta wiara wzięła. Dawniej, kiedy poszczególne rodziny Arabów żyły oddzielnie na pustyni, każdy ród obierał sobie boga, który miał go bronić przed śmiercią z pragnienia lub głodu, przed burzą piaskową i dzikimi zwierzętami. Teraz okazywało się, coraz wyraźniej, iż to bogowie nieprawdziwi; każdy był inny, a w postaci swej jeden koszmarniejszy od drugiego! Jeśli ktoś rzadzi światem, to tylko jeden Allah — tak sądzili hanifowie i Mahomet w pełni się z nimi zgadzał.

Nie podobano się Mahometowi tylko jedno: że nikt z hanifów nie wybierał się do miasta, aby szerzyć swoje poglądy. Byli mędrkami dla samych siebie i to już im wystarczało. Tak przecież nie wolno — nauki o prawdziwym Allachu nie wolno chować pod kocem...

Ale czy i Mahometowi starczało odwagi na to, by stanąć przed świątynią Kaaba i publicznie potępić kamienne bałwany? Niełatwo przyszło mu powziąć taką decyzję.

Bywały dni i całe tygodnie, gdy Mahomet przebywał w górach zupełnie sam, z dala nawet od hanifów. Człowiek — powtórzmy jeszcze raz — nie jest stworzony do samotności. Nawet i dziś, gdy w wielkim nowoczesnym mieście siedzi godzinami w swoim pokoju, najosobliwsze pomysły przychodzą mu do głowy, a jego wyobraźnia zaczyna pracować z siłą maszyny parowej. Następuje chwila, kiedy sprzęt w pokoju — stół, krzesło, szafa — zdają się ożywiać i przemawiać bezgłośnie swoją mową. Nie ruszają się — a jednak jakby żyją. Mahomet, wygodzony i zmęczony bezsennością (spać na glazach pieczary nie było zapewne najwygodniej), w znacznie większym stopniu niż ktokolwiek inny stawał się ofiarą swojej wyobraźni. Pośrodku nocy kamienne górskie przybierały naraz postać ludzką, krzewy przekształcały się w fantastyczne postacie, a szmer wiatru w słowa arabskiej mowy.

Pewnego razu, o zmierzchu, gdy Mahomet na poły spał, a na poły czuwał, no górskimi zboczami, wyłoniła się przed nim jakaś niezwykła istota. Unosiła się nad ziemią, oświetlona promieniami zachodzącego słońca. Mahomet rozpoznał w niej archanioła Gabriela, znanego mu z opowiadań starożytnych Żydów i chrześcijan.

— Czytaj! — powiedział archanioł Gabriel.

Mahomet milczał zdumiony tym żądaniem. Nie umiał przecież czytać.

— Czytaj! — powtórzył archanioł.

## CZYTAJ - W IMIENIU TWOJEGO PANA!

Po czym wypowiedział kilka niezbyt może zrozumiałych, ale bardzo pięknych wierszy. Mahomet zapamiętał je na całe życie. Brzmiały one jak następuje:

Czytaj w imieniu twojego Pana, który stworzył;  
W imieniu tego, który stworzył człowieka z krwi zakrzepłej  
Czytaj, ponieważ twój Pan jest najszlachetniejszy.  
On to nauczył człowieka posługiwać się piórem,  
On nauczył człowieka tego, czego nie wiedział!

Teraz dopiero Mahomet począł rozumieć, o co idzie.

Ótóż arabskie słowo *ikra* daje się tłumaczyć jako „czytaj” bądź jako „recytuj”. Od wielu wieków wędrowni poeci arabscy, poeci niepiśmienni, recytowali wiersze, które uprzednio układali w pamięci. Więc i Mahomet miał recytować — tylko co? Oczywiście poematy opiewające wielkość, miłosierdzie i łaskawość Allaha. Ale czy potrafi?

— Bądź spokojny — rzekł archanioł. — Będziesz tylko wobec ludzi wypowiedział słowa, które ja zapiszę w twoim sercu.

Po czym uniósł się jeszcze wyżej, ponad horyzont, i zniknął w pomroce wieczoru.

Mahomet obudził się ze swego snu przerażony. Zrozumiał, że jakiś głos wewnętrzny każe mu zostać prorokiem. Bagatela! Wiedział doskonale, jaki jest los proroków. Prorocy, to przecież ludzie, którzy mówią społeczeństwu nieznaną prawdę, często przykre i niewygodne, to ludzie, którzy chcą przeprowadzać jakieś zmiany, coś ulepszać i przekształcać — społeczeństwo zaś, a przynajmniej jego znaczna część, nie lubi ani zmian, ani wyrzeczeń. Jeśli Mahomet zaatakuje mekkańskich kupców za ich pychę, głupotę i niesprawiedliwość, jeśli wyśmieje ich pogańskie bałwany i każe wierzyć w potężnego i sprawiedliwego Allaha, jedynego Boga — tak ludzi możnych jak nędzarzy — czekają go drwiny i prześladowania...

Z ciężkim sercem wrócił Mahomet do domu i opowiedział swoje widzenie Chadidży. Mógł jej się zwierzyć śmiało, gdyż była dobrą żoną i odważną kobietą.

— Nie ma rady — oświadczyła wysłuchawszy go do końca —, musisz prorokować, bo takie jest widać twoje przeznaczenie. Musisz wystąpić publicznie i recytować słowa zapisane w twoim sercu.

I żeby mu dodać odwagi, zaprowadziła go do swego kuzyna imieniem Waraqui, który był hanifem, czyli poszukiwaczem prawdy, i sam często wygłaszał prorocтва. Waraqui potwierdził słowa Chadidży: tak, Mahomet musi „recytować” dla dobra swego ludu.

— Nie chcę! — bronił się tamten. — przecież wiem, że was, hanifów, obywateli Mekki mają za czarowników lub kłamców, że was nienawidzą! A ja lubię spokój i zgodę. Nie ma zresztą pewności, że ten anioł z mojego snu przysłany został przez Allaha. Może to był dżin, złośliwy duch, który pragnie mojej zguby?

Ale głos wewnętrzny, który w snach tego wrażliwego i skłonnego do wizji człowieka przemówił ustami archanioła Gabriela, w końcu zwyciężył. Przygotowany na najgorsze, Mahomet zaczął prorokować.

MIROSLAW AZEMBSKI

(Opowiadania z życia Mahometa stanowią fragmenty książki, która ukaże się wkrótce nakładem Naszej Księgarni).



Na placu przed Bazyliką św. Piotra w Rzymie manifestacja antyamerykańska przeciwko wojnie w Wietnamie

**W**ojna w Wietnamie kosztuje Stany Zjednoczone nie tylko wiele pieniędzy i nie mało krwi, ale również powoduje „utrata twarzą”, utratę autorytetu, który posiadały i posiadać by mogły. Świat się oburza, protestuje...

Rząd PRL złożył oświadczenie, zawierające m. in. takie sformułowania:

„Agresorzy amerykańscy posunęli się o jeszcze jeden krok dalej, dokonując zbrodniczych nalotów na gęsto zaludnione dzielnice Hanoi, powodując poważne zniszczenia

i liczne śmiertelne ofiary wśród ludności cywilnej...

Rząd PRL, który już niejednokrotnie zwracał uwagę na groźne następstwa amerykańskiej agresji w Wietnamie — stanowczo potępia nowe, brutalne i nieludzkie bombardowania DRW i jej stolicy. W imieniu całego narodu polskiego rząd PRL domaga się bezwarunkowego położenia kresu agresji...”

Szwedzki profesor ekonomii, b. sekretarz Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ. Gunnar Myrdal oświadczył:

„Rząd amerykański popada w coraz większą polityczną i moralną izolację:... Wojna w Wietnamie sprawiła, że świat stanowczo odciął się od polityki rządu amerykańskiego...”

Zaangażowanie się Stanów Zjednoczonych w wojnę wietnamską jest dla całego świata

## POŁOŻYĆ KRES

Waskrawym dowodem, że rząd amerykański wkroczył na fałszywą drogę, postanawiając rządzić światem według własnych upodobań i interesów. Wojna wietnamska potwierdza niestety powszechne mniemanie, że Amerykanie są niedojrzali emocjonalnie, naiwni intelektualnie, niefrasobliwi moralnie, niemądrzy politycznie, a przy tym wszystkim uparci, mimo świadomości, że błędzą”.

Wybitny publicysta amerykański Walter Lipmann tak scharakteryzował sytuację w Ameryce:

„Odmowa prezydenta, który nie chce uznać rzeczywistości wojskowej i politycznej (w Wietnamie), nieumożliwia przerwania ognia i kompromisowe rozwiązanie sporu. Niełatwo jest Lyndonowi Johnsonowi

połknąć gorzką pigułkę i przyznać się do faktu, że prowadzi on wojnę, której nie może wygrać. Mogłoby to uczynić tylko człowiek o szlachetnej postawie, mający największą odwagę moralną. Nie ma podstaw do przypuszczenia, że Johnson jest takim człowiekiem. Lecz gdyby nim był, gdyby odważył się na zakończenie kompromisowe wojny, popłynąłby naprzód na wzrastającej fali zaufania, wdzięczności i popularności w kraju i za granicą...”

Dziewczęta z Wietnamu Płd. walczące w oddziałach powstańczych



## MISTRZ SABOTAŻU



**R**ok 1941 dobiegał końca. Pewnej nocy grupa milczących ludzi skradała się do wiadukt kolejowego. Przypadali do załomów skalnych, kryli się za pniami drzew i w cieniu rozrzuconych tu i ówdzie krzewów. Błyskawicznie, bez jednego wystrzału zlikwidowali hitlerowską straż. Rozbiegli się po różnych punktach wiaduktu, a w kilkanaście minut później rozpięchli się w terenie, niby gromadka swawolnych dzieci po zakończonej dobrej zabawie.

W piętnaście minut po odejściu tajemniczej grupy most na linii Kostajnica — Volin przestał istnieć.

Styczeń 1942 r. Zagrzeb. W gmachu opery ma się odbyć galowe przedstawienie dla oficerów garnizonu. Na pół godziny przed przedstawieniem przybywa przed gmach opery niemiecki oficer. Pod pachą trzyma dwie eleganckie teczki z cielecją skórą. Widać w ostatnim momencie wyszedł z biura... Jedną z teczek

wręcza kierownikowi szatni, drugą zatrzymuje przy sobie. Wchodzi na salę i zajmuje miejsce w drugim szeregu tuż za oficerami najwyższej rangi. W ostatniej chwili przed rozpoczęciem przedstawienia jakby sobie coś przypomniał... Szybko opuszcza salę i wychodzi na ulicę.

„W kilka minut później gwałtowne wybuchy wstrząsają gmachem opery. Przerazeni oficerowie tłoczą się jeden przez drugiego do wyjścia. Przybywają karetki pogotowia. Kilkunastu oficerów zabitych, w tym dwóch generałów. Wielu rannych...”

Wykonawcą tych sabotaży był niepozorny, skromny bojowiec, Ilija Harisz — zwany przez kolegów „Gromownikiem” — „Piorunem”. Nie był oficerem niemieckim, chociaż często występował w niemieckim mundurze.

Ten sympatyczny, uśmiechnięty partyzant miał za sobą wyjątkowo trudne życie. Urodził się we wsi Słapne w Kroacji. Rodzina składała się z jedenaściorga dzieci, toteż niełatwo było ją wyżywić i ubrać. Ilija Harisz emigrował więc za chlebem. Ładuje w Kanadzie. Zarabiając na chleb, młody chłopak bierze czynny udział w walce o społeczną sprawiedliwość. Staje się to przyczyną utraty pracy. Ilija wędruje z miejsca na miejsce szukając chleba... i sprawiedliwości. Przewędrował cały kontynent z północy na południe. W Patagonii dochodzi go wieść o wybuchu wojny domowej w Hiszpanii i Ilija siada na okręt, aby w Międzynarodowej Brygadzie pełnić odpowiedzialną funkcję „mistrza sabotażu”. Po klęsce dostaje się do obozu we Francji, skąd następnie zostaje wywieziony na roboty do Niemiec.

Nie byłby Ilija „Gromownikiem”, gdyby na wieść o napaści na Jugosławię nadal chciał służyć swym wrogom. Jego miejsce w szeregach partyzantów! Ilija zapisuje swe bohaterskie konto niezwykłymi czynami sabotaży. Wdzięczna Ojczyzna nadaje mu tytuł Bohatera Narodowego. Odznacza wielu orderami.

**M**ój dom — jest moim zamkiem, mawiali niegdyś Anglicy i pilnie strzegli, aby nikt niepowołany progu ich domu nie przekroczył. Zartowano w czasie okupacji, że Anglicy wyrażają zdziwienie na wiadomość, iż Niemcy wchodzi do domów w Polsce... we Francji... w Belgii... Oni by na to nie pozwolili, bo „mój dom — jest moim zamkiem”.

Na szczęście, hitlerowcy nie sforsowali kanału i nie wylądowali na brytyjskiej wyspie. Mogliby więc nadal ludzi się Anglicy, że dom ich jest niedostępny. Mogliby... gdyby... nie nowoczesne wynalazki. Dziś nie tylko hitlerowcy kpią sobie z angielskich zwyczajów i weiskają się do cudzych domów, do cudzych mieszkań, do cudzych umysłów. Wydaje się nam to nieprawdopodobne, a jednak tak jest rzeczywistość. Gdzie. Naturalnie, że w Stanach Zjednoczonych. Naturalnie, że w NRF.

Żeby zrozumieć na czym rzecz polega, posłuchajmy, jak się reklamuje jedna z zachodniemieckich firm.

„Nasze mikroskopijne mikrofony, wielkości kostki cukru, możesz wszędzie łatwo ukryć. W promieniu kilkunastu metrów odbiorą one nawet szept. Każdą rozmowę możesz podsłuchać z odległości 150 metrów”.

## USZY SĄ WSZĘDZIE

Tak więc szereg firm amerykańskich, zachodniemieckich i in. specjalizuje się w produkcji malenkich mikrofonów, które można umieścić w oprawie okularów, w szpilce do krawatu, w zapalniczkach, pierścionkach, ramach obrazów, w obcasach, w pileczkach gumowych, które podrzuca się do cudzego mieszkania i w ten sposób można mieć wgląd do cudzego domu, do cudzych myśli. Przy pomocy tego rodzaju urządzeń można uzyskiwać zdjęcia ludzi na interesujących. W ten sposób przedsiębiorcy uprawiają szpiegostwo w konkurencyjnych firmach. W ten sposób kapitaliści czuwają nad nastrojami swoich robotników i potrafią w porę interweniować. „Informacje uzyskane przy pomocy podsłuchu ostrzegają przed groźącym strajkiem... Mogą służyć do unieszkodliwienia przywódców, wzywających robotników do antyrządowych wystąpień”. Doszło do tego, że Narodowy Instytut Zdrowia w Waszyngtonie instalował specjalną aparaturę w szpitalniach nowożeńców, „dla badań naukowych”.

Tak więc „uszy są wszędzie” i „oczy są wszędzie”. Skończyły się dawne dobre czasy, kiedy dom mógł być zamkiem. Całe szczęście, że pod tym względem jesteśmy jeszcze „zacofani”.





## Rozmyślania przy kominku

# N I E D O B R A M I Ł O S Ć

J eżeli by posłuchać co mówią niektórzy rodzice, to okaże się, iż nasze dzieci są pokoleniem jednostek wybitnie zdolnych, ba, należałoby powiedzieć raczej — pokoleniem geniuszy. Już nieomal od pieluch przejawiają niezwykłą inteligencję, bystrość i uzdolnienia artystyczne. Postępują! Maciuś już w wieku trzech lat potrafił bezbłędnie rozróżnić WSZYSTKIE marki samochodów i nigdy nie zdarzyło mu się, aby (o hańbo!) pomylił Opla z Simcą. Konstrukcyjne rozwiązania Dariusza w jego budowlach z klocków i plastikowych elementów, swymi rozwiązaniami funkcjonalnymi mogą zawstydzić niejednego architekta, legitymującego się powszechnym uznaniem. A cóż dopiero rysunki Marka! Toż to prawdziwy talent! Ma zaledwie pięć lat a już odczuwa nieprzepartą potrzebę wypowiedzenia się o linii i barwie. Te rysunki pełne ruchu i dynamiki, postacie uchwycone w działaniu, nastroju i nieokiełzana wyobraźnia — czyż nie wskazują i nie predestynują jego przyszłego powołania?

Basia tańczy niczym Mazurówna, Janinka śpiewa, Jola recytuje, a Jacek sam nauczył się czytać w ciągu dwu dni.

Rewelacje sypią się jak z rogu obfitości podczas towarzyskiej „kawki”, w poczekalni u lekarza, w kolejce po zakupy — przypominając znaną dziecięcą zabawę w „A ja wyżej podskoczę”.

Dzieci są piękne, mądre, genialne. Rodzice „pęczniają” z dumy i rozczytują się w życiorysach sławnych ludzi, skrzętnie też pochłaniają wszelkie „notki i plotki” z życia gwiazd estrady i ekranu — by odpowiednio przygotować się do dalszego kierowania tymi „darami losu” i błędami wychowawczymi nie spowodować, czy nie pogłębić kompleksów jakie zwykłe tym delikatnym naturom grożą.

Mali geniusze wreszcie wracają w progi szkoły i rodzice już z góry nastawiają się na ich przyszłe sukcesy na tym polu. Pierwsza klasa to okres, kiedy bawimy się wspólnie. Mamu czy babcia znajduje dość czasu by rysować wspólnie z Jolą czy Mają ozdobne wzorki w zeszytach i czuwać nad każdym pociągnięciem ołówka w trudnej sztuce pisania. Nawet zajęty Tata w skupieniu wysłuchuje wierszyka „O Misiu” i skrupulatnie sprawdza zeszyt „od rachunków”.

Później papal obustronnie przygasa, bo i dziecko znużyło się już zabawą w szkole i przychodzi nań nieuchronnie trudny okres przystosowania się do pierwszych w życiu, bądź co bądź poważnych (jak na jego wiek i mentalność) obowiązków — a i rodzice mają nagle coraz mniej czasu. Pozostaje jednak coś — wiara, głębokie wewnętrzne przekonanie o genialności naszego dziecka.

Wywiadówki w I-szej klasie, to jeszcze głupestwo. Podekscytowane mamy chętnie na nie przychodzą, dyskusje dotyczą spraw dyscypliny, tak trudnej do opanowania dla dzieci — mówi się, że dzieci rozmawiają na lekcjach, kręcąc się, mówią chórem. Jasia chce siedzieć z Kasią, a Jacek z Andrzejem. Wszyscy są gorąco przejęci, wygłaszają patetyczne deklaracje, szczerze chcą pomóc wychowawczyni — ale już zaczynają, wprawdzie jeszcze mgliście, zarysowywać się pierwsze problemy. Otóż „pani” postawiła Dorocie „plus”, a Agnisi nie, choć Agnisia, w przekonaniu mamy, miała i rysunek ładniejszy i zeszyt też o wiele czystszy. Innym razem „pani” nie zapytała Janusza, choć usilnie podnosił palce ale Jurka, gdyż Jurka lepiej lubi, i w ogóle zaczyna go chyba faworyzować — i tak dalej, i tak dalej...

W dalszych klasach problem jest już zupełnie wyraźny. Okazuje się, że szkoła i nauczyciele nie doceniają zupełnie naszych geniuszy, a czasem wręcz wyraźnie je... krzywdzą. Mają też zupełnie niezrozumiałe wymagania. Pytają ich kiedy chcą, a ignorują, gdy geniusz ma coś niesłychanie ważnego do powiedzenia na jakiś inny temat. Podczas lekcji języka polskiego nie wystarcza im „głębia” wypowiedzi, ale żądają też wiadomości z nudnej gramatyki i (o zgrozo!) nieltosciwie stawiają „dwójke” za brudne, niechlujnie zeszyty, błędy (u Dariusza myśl wyprzedza pióro, nic więc dziwnego, że „lyka” litery i nie ma czasu zagłębiać się jakie ma być „u!” czy „o”) źle zrobione zadanie (każdemu może się zdarzyć. Dwa inne obliczył dobrze!). Każą też czytać lekturę i nie raczą naprowadzić dziecię na temat, gdy mu się to „nieszczęście” lektury poplączą. Co gorsza, boć przecież przedmiotów jest wiele, nie ratują geniusza wspaniałe wyniki w rysunkach, gdy np. chodzi o historię!

Dzieci, po każdym niepowodzeniu zdaje relację w domu, nie szczędząc opowieści o stronnictwie nauczyciela i znajdując na swe usprawiedliwienie mnóstwo przyczyn. Rodzice wierzą, a później w obecności dziecka wymieniają niezbyt pochlebne uwagi o nauczycie-

lu, szkole i szkolnictwie w ogóle. Dziecię pilnie słucha i uczy się... aroganckiej postawy, lekceważenia nauczycieli i wychowawców oraz nabywa przekonania, które można zamknąć w swoistym sloganie: „śmierć frajerom”!

Wywiadówki to prawdziwy pokaz szkolnej instancji „skarg i zażaleń”. Rodzice przychodzą na nie odpowiednio przygotowani przez swe latorośle i z góry nastawieni przeciw ewentualnym zarzutom. Już od pierwszej chwili występują z pretensjami o rzekomo niesprawiedliwe „dwójki”, zarzucają nauczycielowi, iż uprzedził się do ich dziecka, a inne faworyzuje i na wszelkie kontrargumenty odpowiadają stereotypowo: „Moje dziecko nie kłamie”.

W tej powodzi wzajemnych pretensji czas upływa i nie pozostaje go prawie lub wcale na omówienie spraw zasadniczych jak np. ogólny poziom uczniów, ich postępy w nauce, sprawy wychowawcze i dyscyplinarne oraz realizacja programu nauczania.

W tej sytuacji obie strony wychodzą z wywiadówki zawiedzione i rozdrażnione. Nauczyciel, — iż nie podzielił się z rodzicami bieżącymi problemami, których nie brak w życiu szkolnym i nie uzyskał tego o co mu najbardziej chodziło, a mianowicie współdziałania i pomocy rodziców w sprawie tak zasadniczej jak wychowanie i nauka, średnio czterdziestu „basatyków” potwierzonych jego pieczy. A rodzice — są rozżaleni, iż nie wysłuchano ich do końca i że ich „gwiazdeczki” nie zostały zrehabilitowane i nadal zapewne będą niedocenione.

Oczywiście nic tutaj nie uogólniamy, lecz zjawisko opisane powyżej zdarza się częściej niż nam się wydaje. Nasze jednostkowe, sporadyczne „skargi” zsumowane, dają już pewien obraz bynajmniej nie jednostkowy. Co więcej, rodzice na zarzut tego rodzaju, mają zawsze jedną i tę samą odpowiedź — iż oni są powołani do tego, aby od początku strzec interesów swego dziecka, gdyż tylko oni je rozumieją i kochają.

Ze je „kochają” to prawda, ale czy „rozumieją” w pełnym tego słowa znaczeniu, to już sprawa kontrowersyjna. Zresztą i na słowo „miłość” w tym pojęciu, musimy spojrzeć z pewną rezerwą.

Zła to bowiem miłość, która zagłusza rozsądek. To nie miłość, lecz zaślepienie nie pozwala zdobyć się na obiektywizm i spojrzeć rozsądnym okiem na wady i zalety własnego dziecka oraz jego prawdziwe zdolności czy ich brak.

Takie zaślepienie powoduje, iż pomijając już siebie i skutki jakie w przyszłości dla nas samych z teje postawy wynikną — największą krzywdę wyrządzamy własnym dzieciom.

Każde dziecko, nie wnikając głębiej w cechy charakteryzującego je usposobienia, wykazuje predyspozycje w pewnych określonych kierunkach. Niektóre z samego upodobania i wychowania są bardziej dokładne, pilne i sumienne. Inni to „urodzeni” bałaganiarze. Dzieci, którym od wczesnego dzieciństwa nie rozwijano przez rysunki, wyćwiczenia i inne ćwiczenia, ręki, mają małą motoryczność dłoni i te będą miały większe trudności z opanowaniem poprawnego pisania niż inne. Są dzieci o wykształconym w pewnym sensie zakresie słownictwa i większej wyobraźni — tym łatwiej „iść” przedmioty humanistyczne przy większej łatwości „wypowiedzenia się”. Inne nie cierpią właśnie „polskiego”, gdyż poprawne wystawienie się sprawia im największą trudność. Niektóre mają już od początku „złote ręce” do majsterkowania, a są i takie, którym np. matematyka przy słabej umiejętności koncentracji sprawia wiele trudności.

Przykładów takich można by zresztą mnożyć bez liku. Trudno bowiem powiedzieć, iż dziecko jest wszechstronnie genialne — a nawet w wypadku tzw. „cudownych dzieci” odpowiednio kształtowanie ich zdolności, wychowanie i usilna praca nad nimi dopiero stwarza zespół nazwany później, powiedzmy, „wybitnymi zdolnościami” w pewnym kierunku.

I tu właśnie otwiera się pole dla mądrych rodziców i wychowawców. Prawdziwa miłość do dziecka widzi jego zalety i niedostatki i jedne mądrze rozwija służąc jak najdalej idącą pomocą w usuwaniu tych drugich.

Przesadna zaś wiara w genialność naszego potomka zakończy się w rezultacie w wielu wypadkach rozczarowaniem z jednej i często zaledem do rodziców z drugiej strony.

Slepa wiara w prawdziwość słów naszego dziecka, gdy zbroiwszy coś szuka argumentów na swoją obronę, a co za tym idzie i szukanie winnych wokoło — prowadzi do wytworzenia się w dziecku takich cech charakteru, jakich z pewnością chcielibyśmy najbardziej uniknąć: kłamliwości, dwulicowości, lekceważenia wszelkich autorytetów oraz braku odpowiedzialności za swoje czyny i samodzielności.

Czyż nie łatwiej bowiem ukryć się za plecami rodziców, „poczarowawszy” ich uprzednio, a potem niech się już oni martwią i „rozrabiają” dalej. Czyli — znów „śmierć frajerom”!

Dlatego też sądzimy, że z tą naszą ślepą miłością do dzieci, trzeba raczej ostrożnie, gdyż bez udziału rozsądku zamieni się ona w miłość niedobłą, która przyniesie więcej szkody niż pożytku. HABER



Nowe osiedle mieszkaniowe w Katowicach

Zima 1944/45 zapowiadała się dla Niemców katastrofalnie. Druzgocące klęski zadane wojskom hitlerowskim przez Armię Radziecką w toku wielkiej letnio-jesiennej ofensywy 1944 r. na froncie ciągnącym się od Morza Białego na północy, aż po wybrzeże Morza Czarnego i Adriatyku na południu, wstrząsnęły machiną wojenną Hitlera, stawiając Niemcy w niezwykle trudnym położeniu. Armie radzieckie nacierając od północy, wschodu i południa, zbliżyły się nieubłaganie ku granicom III Rzeszy. Centralnym założeniem, jakie postawiło przed swymi siłami zbrojnymi Dowództwo radzieckie, było jak najszybsze rozgromienie wroga na głównym kierunku działań bojowych, wiodącym przez ziemie polskie na Berlin. Temu też założeniu odpowiadała odpowiednia koncentracja własnych sił i środków, dokonana na początku roku 1945. I tak oto na centralnym odcinku frontu pomiędzy lewym brzegiem Niemna a rejonem Tarnowa, Radziecka Kwatera Główna Naczelnego Dowództwa zgromadziła około 4 000 000 ludzi, koncentrując gros tych sił w strefie Modlin — Jasło. W skład skoncentrowanego tu zgrupowania uderzeniowego wchodziły wojska 1 Frontu Białoruskiego marszałka G. K. Żukowa (w jego szeregach walczyła 1 AWP) oraz 1 Frontu Ukraińskiego marszałka I. Koniewa, liczące ogółem 2 200 000 ludzi, 32 000 dział i moździerzy, 6 400 czołgów i samobieżnych dział pancernych oraz 4 700 samolotów. Zgrupowanie to ubezpieczały od skrzydeł wojska 2 i 3 Frontu Białoruskiego walczące w Prusach Wschodnich i siły 2 i 3 Frontu Ukraińskiego toczące zaciekle boje na południu.

Oceniając błędnie plany i zamierzenia przeciwnika naczelne dowództwo hitlerowskie rozwinęło swe siły całkowicie odmiennie od strony radzieckiej, spodziewając się głównego uderzenia Armii Ra-

## OCALENIE

dzieckiej na skrzydłach. Stąd centrum frontu wschodniego objęła głównie hitlerowska Grupa Armii „A”, licząca około 400 000 ludzi. Znacznie większe siły niemieckie skoncentrowane zaś zostały na południowym skrzydle tj. na Węgrzech i na północnej flance w Prusach Wschodnich. Należy jednak pamiętać, iż realną siłę Grupy Armii „A”, stosunkowo słabszą od pozostałych ugrupowań armii hitlerowskiej, wzmagaly znacznie rozbudowane zawczasu linie silnych umocnień polowych na obszarze pomiędzy Wisłą a Odrą, oparte o tak ważne punkty oporu, nazywane często i to bez przesady, twierdzami jak: Warszawa, Poznań, miasta Zagłębia Górnośląskiego czy Wrocław.

W takiej to sytuacji rusza w dniu 12 stycznia 1945 r. z przyczółka sandomierskiego potężne uderzenie wojsk 1 Frontu Ukraińskiego. 14 stycznia uderzają z rejonów Warki i Kazimierza wojska 1 Frontu Białoruskiego, a 15 stycznia przechodzi do ofensywy z rejonu Jasła również i 4 Front Ukraiński. Wojska hitlerowskie nie wytrzymały tak potężnego uderzenia. Już po kilku dniach zaciętych walk pęka linia obrony niemieckiej Grupy Armii „A”, a ona sama zostaje rozbita i zmuszona do szybkiego odwrotu. Szczególnie dotkliwe straty ponoszą działające na lewym skrzydle grupy oddziały niemieckie 9 armii polowej i 4 armii pancernej. W szerokim pasie działań wojennych, obejmującym niemal że cały obszar Polski, front przestał w zasadzie istnieć. Jak lawina sunęły na zachód radzieckie kliny pancerne, pędząc przed sobą luźne grupy nieprzyjacielskich wojsk złożone głównie z czołgów i zmotoryzowanych kolumn pod osłoną których starala się salwować ucieczką piechota. Tej panicznej ucieczce wojsk towarzyszyła całkowita dezorganizacja hitlerowskiego dowództwa i łączności, utrudniająca wrogowi właściwe zrozumienie rozwijających się w błyskawicznym tempie wydarzeń. A wydarzenia te rozwijały się istotnie coraz szybciej. Już 15 stycznia czołgi radzieckie wyzwalały Kielce, 17 stycznia wyzwolono Warszawę i Częstochowę, a 18 stycznia wojska radzieckie osiągnęły już rejon Zagłębia Górnośląskiego.

Dopiero teraz Niemcy próbują otrząsnąć się z wrażenia poniesionej klęski, podejmując próbę powstrzymania sunącego jak lawina na zachód przeciwnika. Hitlerowcy dokonują błyskawicznej reorganizacji swych sił, oddając sprawę osłony kierunku prowadzącego bezpośrednio na Berlin w ręce nowo utworzonej Grupy Armii „Wisła”, a obronę Śląska w ręce Grupy Armii „Środek”, złożonej głównie z rozbitych wojsk dawnej Grupy Armii „A”. Już 19 stycznia dochodzi do pierwszego starcia sił obu walczących stron na ziemi śląskiej. Nad Zagłębiem zawisa groźba całkowitego zniszczenia. Jasne jest bowiem, iż zaciekle boje o każde miasto Śląska i jego obiekty przemysłowe, doprowadzić muszą do nieuchronnego zniszczenia większości śląskich kopalń, fabryk i hut.

Tak rozpoczął się bój o Zagłębie. W chwili gdy wojska centrum 1 Frontu Ukraińskiego prowadzili natarcie z ogólnym zadaniem jak



Budowa wieży szybu kopalni Makoszowy. Zastosowano tu nowoczesny system montażu, skracający czas pracy o cztery miesiące



najszybszego osiągnięcia brzegu Odry (4-ta armia pancerna i 13-ta armia ogólnowojskowa posuwały się na Ścinawę; 52 armia ogólnowojskowa i 3 gwardyjska armia pancerna na Wrocław, a 5-ta gwardyjska armia ogólnowojskowa na Opole), Niemcy podejmują próbę zagrożenia obu skrzydłom wojsk marszałka Koniewa. Na front przybywają nowe dywizje, częściowo przerzucone tu z frontu zachodniego, częściowo zaś wygospodarowane z innych odcinków frontu i odwodów naczelnego dowództwa. Ciężkie walki toczyć musi teraz radziecka 3-a armia gwardyjska w rejonie Piotrkowa. Na jeszcze poważniejszy opór napotkały lewoskrzydłowe armie 59 i 60 atakujące z rejonu wyzwolonego już Krakowa. Wzmagający się opór nieprzyjaciela, usiłującego wyraźnie przekształcić Zagłębie Górnośląskie w „twierdzę” broniącą dostępu do Odry, ostatniej poważniejszej przeszkody wodnej przed Berlinem, budzić mógł poważny niepokój o los Śląska i jego przemysłu. I właśnie wówczas marszałek Koniew podejmuje śmiałą decyzję uratowania za wszelką cenę Zagłębia Górnośląskiego i jego mocy gospodarczej przed groźącym mu zniszczeniem.

W dniu 21 stycznia marszałek Koniew wydaje rozkaz oddziałom 3 gwardyjskiej armii pancerniej gen. P. S. Rybalki nacierającej poprzez Namysłów na Wrocław, aby dokonały nagłego zwrotu o 90 stopni i poprowadzenia dalszego uderzenia wzdłuż brzegu Odry na Opole, które już 24 stycznia zostało wyzwolone. Stąd czołgi 3 gwardyjskiej armii pancerniej nacierają dalej, tym razem jeszcze bardziej na południe, docierając w dniu 27 stycznia do rejonu Mikołów — Rybnik. Stąd było już tylko 15—20 kilometrów do stanowisk bojowych wojsk atakującej w zbieżnym kierunku od wschodu 60 armii radzieckiej gen. P. Kuroczkina. W chwili gdy żelazny pierścień wojsk generałów Rybalki i Kuroczkina zaciskał się coraz wyraźniej wokół sił niemieckich walczących w Zagłębiu, z linii Warty uderzyły na wroga nowe siły radzieckie w postaci 21 armii gen. D. N. Gusiewa, 59 armii gen. I. T. Korownikowa i 5 armii gwardyjskiej gen. A. S. Żadowa. Całość operacji wspierało przez cały czas niezwykle aktywne lotnictwo 2 armii powietrznej gen. S. A. Krassowskiego.

W ten sposób hitlerowski 48 korpus pancerny broniący Zagłębia Górnośląskiego znalazł się w całkowitym niemal że okrążeniu. Jedyna, wąska droga odwrotu prowadziła teraz tylko przez Pszczynę, Zo-

## ZAGŁĘBIA

ry i Bielsko na Bramę Morawską. Drogę tę, w którą rzucili się teraz Niemcy opuszczając w popłochu Śląsk, wojska radzieckie mogły w każdej chwili z łatwością przerwać, zamykając hitlerowski 48 korpus pancerny w kotle. Ale tego rodzaju rozwiązanie musiałoby siłą rzeczy doprowadzić do przewlekłych walk ulicznych o miasta Zagłębia, niosąc im ruinę i zniszczenie. A tego właśnie uniknąć chciał marszałek Koniew.

Tak więc Niemcom myślącym jeszcze wczoraj o zdecydowanej obronie Zagłębia Górnośląskiego pozostała teraz już tylko ucieczka, choć nie od razu chcieli się do tego przyznać. Jeszcze bowiem 21 stycznia radio Katowice zapowiadało buńczucznie wielkie przemówienie miejscowego gauleitera Brachta, mające zachęcić do bezpodległego boju lokalny żywioł niemiecki. Ale już 22 stycznia gauleiter Bracht nie myślał o zapowiedzianym wystąpieniu ani o walce za Führera i Vaterland, mknąc pospiesznie swym autem w kierunku Gliwic. Tu co prawda usiłował jeszcze zagraść do boju miejscowy Volkssturm, ale zaraz potem, nie mając zamiaru ryzykować własnego życia, ruszył w dalszą drogę ku zbawczej Bramie Morawskiej. Nie wszyscy jednak hitlerowcy mogli pójść śladem swego gauleitera. Oddziały, którym nie udało się na czas wycofać, zaczęły stawiać rozpaczliwy opór nacierającym w głąb Zagłębia wojskom radzieckim. Żołnierze Armii Czerwonej pomni rozkazu marszałka Koniewa stali się w miarę możliwości prowadzić bój bez należytego wsparcia artylerii i lotnictwa, okupując każdy swój sukces poważną daniną życia i krwi, położoną w imię ocalenia Zagłębia. Mimo tak trudnych warunków walki wojska radzieckie posuwają się szybko naprzód, wyzwalając Śląsk spod hitlerowskiej okupacji. 24 stycznia czołgi radzieckie wyzwalały Gliwice, 27 stycznia oswobodzono Katowice, Sosnowiec, Będzin, Mysłowice i Chorzów. W walkach o wyzwolenie Zagłębia współdziałali z wojskami radzieckimi partyzanci Armii Ludowej V Obwodu, zajmując się głównie likwidowaniem hitlerowskich grup dywersyjnych i uniemożliwianiem im zaplanowanego niszczenia ważniejszych obiektów przemysłowych Śląska.

Tak wyzwolone zostało a jednocześnie ocalone przed zniszczeniem Górnośląskie Zagłębie Przemysłowe. Armia radziecka ruszyła tymczasem naprzód, przygotowując się do zadania nowego, tym razem rozstrzygającego uderzenia, którego celem miał być już sam Berlin. W tym celu w dniach od 23 stycznia do 3 lutego 1945 r. oddziały radzieckie forsują Odrę, tworząc tak groźne dla wroga już w niedalekiej przyszłości, przyczółki mostowe w rejonie: Opola, Skorogoszczy, Oławy i Ścinawy.

Polski Śląsk, na zawsze już przywrócony Ojczyźnie, powracał tymczasem do normalnego życia, wchodząc w nowy etap swej historii. Ruszały powoli fabryki, kopalnie i huty Zagłębia. Powracali do pracy ludzie. Tworzyła się stopniowo i zaczynała pracę polska administracja i władza państwowa. Lud śląski wierny przez tyle wieków Polsce, od której tylekroć starano się go siłą oderwać i zgermanizować, raz jeszcze dał miarę swym codziennym trudem dowód swego bezgranicznego patriotyzmu i przywiązania do polskości. Ale i tu nikomu

nie było lekko. Życie, które mogło powrócić do Zagłębia dzięki wielkiej ofiarności żołnierza bratniej Armii Czerwonej i wielkiemu kunsztowi operacyjnemu radzieckiego naczelnego dowództwa, nie było łatwe. Wszystko trzeba było zaczynać niemal że od początku.

„Gdy wjechaliśmy do Śląska — wspominał tamte dni pierwszy wojewoda śląski, ówczesny generał Aleksander Zawadzki — w Katowicach płonął rynek, podpalony przez cofające się oddziały niemieckie, z niedaleka dochodziła kanonada dział. (...) Wiedzieliśmy jednak, że z tymi sprawami uporamy się szybko, że walki odsunie od przemysłowego Śląska dalsza zwycięska ofensywa Armii Radzieckiej. Toteż w naszym działaniu główny punkt ciężkości spoczął od razu na organizacji produkcyjnego życia. Wymagał tego wyzwolony kraj”.

„28 stycznia stanąłem w Katowicach — uzupełnia tę pisaną na gorąco relację, jeden z pierwszych organizatorów władzy ludowej na Śląsku Jerzy Ziętek. — I ten dzień był mroźny. Nad miastem kłę-

Osiągnięcia pracowników inżynieryjno-technicznych poparte są wiedzą naukowców z Instytutu Metalurgii Żelaza, którzy opracowali ostatnio nowy typ wagi elektronowej



Rozwojowi przemysłu dorównuje postęp wiedzy medycznej. Lekarze z Centralnego Szpitala Górniczego w Gliwicach dokonali udanego zabiegu przeszczepienia nerki Na zdjęciu chora.

biły się pożary. Kominy kopalń prawie nie dymiły. Domy z powybijanymi oknami stały ponure i milczące. Gmach Urzędu Wojewódzkiego, który nazajutrz miałem przejąć, przygotowany był jeszcze przedwczoraj do zaciętej obrony. Zabrudzone worki z piaskiem tarasowały wejścia, piętrzyły się u okien piwnicznych i chroniły poszczególne pięter. Leżały porzucone „pieści pancerne”... W biurach panował ogromny bałagan. Akta niemieckie, książki, druki i zeszyty tworzyły na podłogach gęstą podściółkę, po której chodziło się w nieustającym szeleście”.

Takie były początki, tak zaczynało się nowe życie wielkiego Zagłębia, dzisiejszej dumy i chluby Polski Ludowej, tak wyglądały pierwsze dni polskiego Śląska, dni o których warto pamiętać.

FRANCISZEK BERNAS



**P**arne powietrze upalnego popołudnia klei powieki pasterzowi. Chłopak, ba, młody już człowiek, spoczywa na wonnej miękkiej trawie. Przed nim, nieco poniżej, opasane czerwonym murem leży prastare miasteczko Trujillo. Przyćmione bielą słonecznego pyłu rysują się potężne bastiony odwiecznego zamczyska-cytadeli. Lokalne gadki głoszą, że kiedyś tam, hen przed wiekami, w miejscu tym rozbił zdobywczy obóz Juliusz Cezar ze spiżową kohortą rzymskich legionistów. Pasterz nie lubi tego miasta, choć w nim właśnie ujrzał po raz pierwszy światło dzienne. Więc zmęczone oczy unosi wyżej i leniwie śledzi igraszki lekkich, białych obłoków. Targane wiatrem przyjmują dziwaczne kształty rycerzy, mknących w dal na bojowych rumakach. Inne znów zbijają się w całe eskadry ni to fregat, ni to ociężałych galer i suną z wolna po lazurze nieba heł na południe. Na południe, tam gdzie „wielka rzeka” Gradal Rivir toczy gniewnie wody do samych wrót morza.

Morze. Pasterz niewiele w swym życiu widział, morze zna tylko ze słyszenia, ale sam już dźwięk tego słowa wywołuje w nim wzruszenie. Morze, otchłanny bezmiar wód, a za nimi bajeczne kraje, o których po całej Hiszpanii krążą niezwykle opowieści. Krainy złota i legendarnych bogactw... Pasterz wzdycha.

Nagle marzenia płacze mu surowa twarz don Alfonsa, zarządcy podupadłej ojcowskiej habendy. Zgryźliwy starzec, zawsze z tęgim kosturem w dłoni i plugawą kłutwą na języku, jest postrachem folwarcznej czeladzi, w której ostatnie miejsce zajmuje właśnie on, Francisco. Pasterz odpędza złe wspomnienia. Przywołuje pamięć prawie nieznanego sobie ojca. Gonzalo Pizarro całe życie spędza na wojaczce, z rzadka tylko na odpoczynek i dla leczenia ran zawita do Trujillo. Ale wtedy za krótkie jawią się Franciscowi wieczory. Z zapartym tchem łączy opowieści o przewagach wojennych Wielkiego Kapitana, w którego barwach ojciec służy w Italii. Każdy jego krok to atak, a każdy atak to zwycięstwo — powtarza stary wojak i tych słów ojca Francisco już nie zapomni. Tak jak pamiętać będzie zawsze wyzarowany ojcowskimi wspomnieniami obraz bitwy nad Garellano. Młody Pizarro widzi wściekle natarcie hiszpańskiego hufca. Na czele ze sztandarem biegnie chorąży Fernando de Illescas. Wroga kula urywa mu prawą dłoń, Illescas w lewą chwytając chorągiew. Za chwilę i tę rękę traci, a wtedy ociekając krwią, sztandar przyciska do piersi ocalałym kikutem ramienia i tak dochodzi francuskich linii.

Młodzieniec znów wzdycha. Ojca dawno już w domu nie widziano i na ekranie pamięci nic się więcej nie pokazuje. A w chwilę potem zakotłowały się wody i chmury, morze i niebo zlewa się w chaotyczne kłębowisko wieczystego ruchu. Słońce pali coraz silniej, więc pasterz osłania głowę olbrzymim liściem łopianu i wnet zapada w mocny głęboki sen młodego człowieka bez przeszłości.

Gdzieś blisko rozległ się żaloszny kwik bólu. Pasterz ocknął się z naglą i zerwał na równe nogi.

— Carramba! — mruknął półgłosem — znówu je gzy pocięły.

Zaczął nawoływać trzodę. Ale daremnie pokrzykiwał, przeczesując zarośla porastające okoliczne pagórki. Na próżno po trzy-

króć i dziewięćkróć rachował niewielkie stadko. Dwóch sztuk brakowało, w tym krnąbrnego knurka, ulubieńca don Alfonsa. Zła twarz złośliwego rządcy mignęła znów przed oczyma pasterza. Twardy grymas skurczył ponure lico Franciscas. Rozjeźrał się na wszystkie strony. Słońce rozpryskiwało czerwone koło o niewysoki grzebień Sierra de Guadalupe. Na Trujillo spadały cienie. Skryty w zapadlinach i wądołach mrok wyprzył się zwycięsko w górę.

— Pora wracać do domu — pomyślał niechętnie Francisco i nie uczynił żadnego ruchu. Za nim, gdzieś z lewa dobiegł dźwięk gitary i skoczne słowa, jeszcze niewyraźne. swawolnej piosenki, której zawtórował junacki śmiech. Z pochyloną w przód głową Francisco nasłuchiwał. Za chwilę rozróżnił pojedyncze wyrazy — mówiły o swobodzie włóczęgi i o oddechu szerokich dróg. Spięta grymasem twarz niefortunnego pasterza rozluźniła się, melancholijny uśmiech wygładził zaciśnięte wargi. Naraz jedna ze świń otarła się mocno o nogi swego dozorczy. Swiniarek stracił na moment równowagę, potknął się, porwał porzucony kij ze szpetnym przekleństwem.

## wszystkiemu winne świnie

— Idź precz, ty obmierzły pomociu don Alfonsa — wymierzył silny raz w ruchliwy ryj poufalonego się zwierzaka.

Nie umiął jeszcze jego bolesny kwik, kiedy Francisco porywając torbę z niedojedzonym obiadem, pędem ruszył w ślad za rozspiewaną bandą wagabundów.

Ich trakt biegł na południe...

★

Królowa Gwadalekiviru, perła przepięknej Andaluzji, żyła nostalgią bezkresów morskich, przygody i awantury. Zgiełkliwe miasto południa notuje niezwykle rozkwit od czasu, kiedy królowie katolicy w 1503 roku przyznali mu monopol na handel z Nowym Światem, a w siedzibie Rady dla Spraw Indii — Casa de la Contratación zapadały decyzje, które przesądzały o losie setek tysięcy istnień ludzkich.

Odurzona poezją odkryć, Hiszpania nie była syta floty. Od świtu do zmierzchu w dokach nadbrzeża roznosił się huk młotów uderzanych przez kalfatorów i cieniaki śpiew pił okrętowych cieśli. W zaułkach portowych, w krzykliwych szynkach i u podnóżka cichych latarni przykucnęła legenda i baśń ludzi morza. Szeptano sobie do ucha groźne opowieści o dziwostworach oceanu. Znano tu morze kipiącej wody i inne, pod którego powierzchnią drzemie przedpotopowy las. wraży, nienawistny. W tawernach przy lichym winie marynarska brać opowiadała o strasznych olbrzymach, o ple-

mionach cyklopów, o szczepach pół-ludzi pół-zwierząt, o bajecznych potworach antypodów. Wprawdzie arabskie plotki o „Morzu Ciemności” zostały już zaprzeczone podróżami, ale na dalekich wodach wciąż jeszcze żyły syreny, ród trytonów i dziwożon ludziom nieprzyjaznych.

Morze weszło w krew Sewilli. Morze, lecz także i złoto. W pijackich zwierzaniach — fanfaronadach śmiałków i awanturników brzęczał złoty kruszec i lała się obficie krew, wysoka cena bogactwa.

Bogata była Sewilla. Andaluzyjscy magnaci, książęta i biskupi zdobili ją pałacami. lśniącymi od zbytku. Słońce, wspaniałe słońce południa i niezrównany lazur nieba dodawały i biedniejszemu budowlom blasku. W labiryncie wąskich arabskich uliczek, zbiegających z historycznego wzgórza Hispolio, osłepiającą biel domków chłodzi soczysta zieleń palmowych gajów. Nad miastem unosi się oszałamiający zapach róż, jaśminów, werbeny i rezedy. Sześćdziesiąt sześć strażniczych wieżyc strzeże średniowiecznych murów Sewilli, ale jej bramy otwarte są szeroko. Gościnnie więc przyjęła Sewilla Pizarra, bo gościny nie odmawiała nikomu i obojętnie, bo też nie dbała o nikogo.

Ruchliwe i pełne zgiełku jest miasto południa. Od ranka do późnego wieczora ulice przepełnione barwnym tłumem. Na placach, targowiskach kupisz na straganach wszystko, czego tylko kraje Lewantu dostarczyć potrafią. Setki sprzedawców i domokraczków zachwalają natrętnie swój towar. Zewsząd dobiega śmiech, krzyki i nawoływania, szczekanie psów i pianie kogutów mieszają się w kakofonię nieustannego hałasu. We wrzawie tej utonie parę lat życia Franciscas.

Pizarro wałęsa się z gromadą podobnych sobie włóczykijów mauretańskimi uliczkami miasta ogrodu, słucha romantycznych legend o miłości królów i pięknych księżniczek, o przygodach błędnych rycerzy, o bohaterstwie, łzach pożegnania. Dziwne i pełne ekspresji są nazwy ulic tego miasta. Na jednej z nich stoi piękny kolorowy dworek jakiegoś arystokraty. Marmurowy westibul oddziela patio od bramy ujętej w dwa pilastry. Jeden z nich tworzy obelisk, na który wsparty na tylnych nogach zuchwale wspina się lew.

— Estremadura — szepce wzruszony Pizarro, poznając herb swojej ojczyzny.

Kilka kroków dalej inny widok przykuwa uwagę Franciscas. W frontalaną ścianę starej budowli wbita kamienna głowa o dziwnie złych rysach twarzy, ma szyję otoczoną tegim powrozem. Eks-pasterz pyta przechodnia o nazwę ulicy.

— Głowa Króla Don Pedra I — pada odpowiedź i nieznajomy wskazując na kamienny wizerunek snuje jedną z sewilskich legend. Przed dwoma wiekami na tym miejscu okrutny król Pedro zabił jakiegoś obywatela. Świadkiem zbrodni była starszka-sprzedawczyni oliwek. Handlarka nie umiała utrzymać języka na wodzy, kiedy więc niecnym postępek władcy stał się publiczną tajemnicą, Pedro na miejscu przestępstwa kazał powiesić własną wykutą w kamieniu głowę. — Albowiem nawet królów zbrodnie nie uchodzą kary — zakończył opowiadanie sewilski filut.

I Pizarro znów zginął w rozgwarze ulic wielkiego miasta. Tysiące darmożjadów żywi Sewilla, bo też setki awanturników. obieżyświatów i rycerzy nieczystego rzemiosła napływają do niej ze wszystkich stron. Hultaje i łotrzykowie wszelkiej gildii zapełniają szulernie, knajpy, nory rozpusty, zjednoczeni w bractwie występku. Koczują po parkach i placach, w podziemiach ulicy Opatów, u stóp mauretańskiego barbakanu. Sewilla jest prawdziwym azylem nicponi, ucieczką dla tych, których honorem życie na modłę ptaków niebieskich. Szerokie stopnie wspaniałej katedry, podmurza niezliczonych kościołów są królestwem żebraczego cechu, który panuje w piwnicach miasta. Mistyfikatory w habitach mnisich, niedopieczeni bakałarze napastliwie oferują relikwie świętych, cudowne balsamy i niezawodne panacea. Naiwnych nie sieją, z nich żyje armia wydrwigroszy, szalbierzy i oszustów.

W. K. OSTERLOFF

# Bartłomiejowa gadka

## Lollobrigida z makulatury

Wyobraźcie sobie, moi kochani, że pani Anastazja okrutnie się na mnie pogniewała. Powiada, że na śmierć i życie. Niczego złego jej nie zrobiłem, oprócz tego, że nie ukloniłem się pani Anastazji na ulicy. Nie ukloniłem się zaś z tego powodu, że jej nie poznałem. Było to tak... Przepraszam, ale wy, moi kochani, przecież nie wiecie, co to za osoba pani Anastazja i trzeba to wyjaśnić. Więc pani Anastazja ma 72 lata, mieszka sobie z nami po sąsiedzku, hoduje kury, a poza tym dorabia sobie zbieraniem makulatury. Odwiedza sąsiadów, znajomych, dozorców i wszelkie śmietniki i zbiera stare papierzyśka. Co uzbiera to niesie do punktu skupu i sprzedaje po złotówce za kilo. Jak widzicie, z pani Anastazji zupełnie pożyteczna niewiasta w nieco dojrzałym wieku. Broń Boże, złego słowa o niej powiedzieć nie mogę.

Aż tu idę ja-sobie w niedzielę chodnikiem, a naprzeciw mnie jakaś wielka dama kroczy. Futro na niej jak na przedwojennej hrabini, wielgachny kołnierz ze srebrnego lisa, fryzura ruda i bardzo fokuśna, a oblicze umalowane jakby wielkanocna pisanka.

— Lollobrigida we własnej osobie do nts przyjechała...

Lollobrigida też się obejrzała i krzyknęła bez rzymskiego akcentu, czysto po polsku:

— Prostak pan jesteś, panie Oczo, pięknej sąsiadce „Dzień dobry” u pana zabrakło — i na włoskich szpilkach poszła dalej.

Dopierom po głosie poznał panią Anastazję. Oniemiałem z podziwu i pobiegłem wypytać znajomego kioskarza, kiedy pani Anastazja milionik w Toto-lotka wygrała. Kioskarz pod przysięgą zaprzeczył. Wtedyśmy z małżonką rozpoczęli śledztwo, ciekawi bardzo jakim cudem pani Anastazja przemieniła się w Lollobrigidę.

W poniedziałek wybraliśmy się pod sklepik skupujący papierzyśka. I co widzimy. Stoi pani Anastazja, bez futra i lisa, jak dawniej, a wokół niej tłum dzieci. Pani Anastazja rozdaje im jakieś różowe kwitki, a dzieci jej pieniążki w ręce wciskają. Przychwyciliśmy któregoś malca i wypytujemy, co on za kombinację ma z panią Anastazją.

Okazuje się, że do niedawna dzieci musiały nosić do szkoły kilo makulatury miesięcznie. Ale żeby nie mieć z nią ambarasu nauczyciele postanowili, że wystarczy, jeśli dzieciaki pokażą im kwit, że same makulaturę dostarczyły, a w nagrodę zostaje im makulaturowy utarg. Wielu dzieciakom nie chce się papierów zbierać, więc ułożyły się z panią Anastazją, że ona będzie im dostarczać gotowe już wypisane kwity, a za każde figurujące na kwicie kilo, dzieciaki będą jej płacić po trzy złote... Okazuje się, że interes kwitnie i w taki sposób pani Anastazja przemieniła się w Lollobrigidę. Handlowa głowa!

A takich handlowych głów, okazuje się, moi kochani, namnożyło się bez liku.

BARTŁOMIEJ OCZKO

## Dalekie i bliskie

Inżynierowie japońscy zamierzają zbudować oceaniczny statek głębinowy, który będzie mógł opuszczać się na głębokość 10 km i przebywać tam dość długo. Specjalne filtry skonstruowane przez prof. Osake, mają zaopatrywać załogę w tlen uzyskiwany z wody. Statek będzie miał kształt dysku. Poruszając się pod wodą, będzie wirować jak spodek wyrzucony przez zonglera. Załoga musi przebywać w środkowej części statku, gdyż siła odśrodkowa po prostu zwałiłaby z nóg każdego, kto znajdowałby się na skraju.

\*

Około 18 lat temu uczeni wykazali, że pewne leukemie myszy wywołane są przez wirusy. W ten sposób został wykonany wyłom w murze tajemnicy otaczającym leukemię. Zostały obudzone nadzieje, że u podłoża leukemii ludzkiej znajdują się także wirusy.

Odkrycie to stało się sygnałem dla badaczy całego świata. Jeśliby bowiem udało się stwierdzić wirusowy charakter leukemii ludzkiej, to sprawa leczenia tej choroby przedstawiałaby się w całkiem nowym świetle. Być może udałoby się odnieść zwycięstwo nad tą straszną chorobą podobnie jak to udało się z ospą, czy chorobą Heinego-Medine. Stwierdzenie wirusowego charakteru leukemii rzuciłoby również nowe światło na tajemnicę raka, a raczej zespołu chorób, które obejmujemy wspólną nazwą raka.

Na całym świecie prowadzono badania. Przez długie lata nie dawały one wyników. Aż naraz...

Naraz z wielu stron napływają wiadomości jeszcze co prawda nie zwycięskie, jeszcze z wieloma zastrzeżeniami, ale już o czymś konkretnym, namacalnym, o czymś, co można zobaczyć pod mikroskopem elektronowym.

W krwi osób chorych na leukemię znaleziono wirusy. Znaleziono je również w szpiku kostnym.

I jeszcze jeden promyk nadziei. Tym razem chodzi o leczenie leukemii. Jak wiadomo leukemiczny szpik kostny produkuje anormalne białe ciała krwi które nadal mnożą się w krwiobiegu. W krótkim czasie dochodzi do powstania wielu ognisk produkcji tych anormalnych komórek krwi nawet w organach, które normalnie białych ciałek krwi nie produkują.

W jaki jednak sposób zastąpić chory szpik kostny zdrowym? Przed paru laty przeprowadzono doświadczenie na myszy, którą udało się z leukemią uleczyć. Dokonano przeszczepienia szpiku po uprzednim zniszczeniu chorego odpowiednią dawką promieni jonizujących. Czy można tę metodę zastosować na człowieku? Z pomocą przyszedł przypadek. Przed kilku laty 6 uczonych jugosłowiańskich otrzymało śmiertelną dawkę promieni. Pięciu z nich uratowano we Francji przez zastosowanie transplantacji szpiku kostnego (przeszczepu). Wszakże doświadczenia późniejsze przeprowadzone na ludziach (w beznadziejnych wypadkach choroby) nie były ukoronowane powodzeniem. Albo organizm chorego odrzucał przeszczep, albo dochodziło do brutalnej, kończącej się śmiercią reakcji na przeszczep, albo też przeszczep przyjmował się tylko na krótki czas.

Tak było do kwietnia 1963 r. W tym czasie stało się bowiem coś niezmiernie ważnego. Młody, 26-letni lekarz, chory na leukemię, otrzymał przeszczep zdrowych komórek szpiku kostnego. Organizm jego przeszczepu nie odrzucił.

Jak się okazało później, organizm chorego wybrał komórki szpikowe tylko jednego dawcy — brata pacjenta. Niebawem przeszczep

wytworzył nowy szpik, który produkuje normalne ciała krwi, takie same jak u dawcy. Od tego czasu minęło sporo czasu. Lekarz czuje się obecnie zdrowy. Ale czy on jest naprawdę zdrowy? Czy leukemia została całkowicie wyleczona? Za wcześniej jeszcze na twierdzącą odpowiedź. Jedno wszakże można już dzisiaj na pewno powiedzieć — przeszczep się przyjął i fakt ten ma ogromne znaczenie. Otwarta została w ten sposób możliwość leczenia, jaka dotychczas nie istniała. Otwarta została również możliwość dokonywania w przyszłości innych przeszczepów: jeżeli bowiem biorca przyjmie szpik kostny, tym samym przyjmie w przyszłości wszelkie tkanki czy organa samego dawcy.

Tak więc na froncie leukemii zaszły wielkie i ważne zmiany. Być może niedaleka jest chwila, gdy szczepionka antyleukemiczna chronić będzie ludzi przed tą straszną chorobą. Być może metoda leczenia leukemii przeszczepem szpiku kostnego wejdzie do normalnej praktyki lekarskiej. Za wcześniej jeszcze, by wieści zwycięstwo, ale może przyjdzie ono jutro?

\*

W Czechosłowacji zbudowano lokomotywę elektryczną, której kadłub wykonano z tworzywa sztucznego (laminatu). Jest to pierwszy w świecie elektrowóz z mas plastycznych. Zastosowanie laminatu oszczędza wiele cennego surowca, który Czechosłowacja importuje z zagranicy, zmniejsza ciężar lokomotywy o dwie tony, zwiększa bezpieczeństwo pracy maszynisty i ułatwia naprawy.

Elektrowóz wyposażony w 6 silników o mocy łącznej 6500KM, rozwija prędkość do 160 km/godz.

# TAJEMNICZA ŁÓDŹ W PORCIE PULA

(dokończenie)

Przez wzmocnione olbrzymimi belkami, sztachetmi, drutem kolczastym i ostrymi kolcami żaden czołg teraz nie przejdzie. Wiedzą o tym dobrze Włosi i dlatego pomysłowość ich idzie w innym kierunku.

Inżynier marynarki Rosetti buduje nowy przyrząd niszczycielski. Jest to długie, do torpedy podobne, stalowe cygaro, poruszane przy pomocy zgęszczonego powietrza i tak ciężkie, że zaledwie unosi się na wodzie. Prócz motoru i rezerwuaru z powietrzem, zawiera dwie, o kolosalnej sile, maszyny piekielne, mogące bądź wybuchać od uderzenia, bądź być regulowane zegarowo. Posiada także szereg uchwytów wzdłuż swego kadłuba.

— Po cóż te uchwyty? — Otóż po prostu Rosetti uważa, że powinien sam kierować swą torpedą w wodzie. Wystrzelona z odległości może chybić celu. I inżynier przywdziewa gumowe, nadęte powietrzem ubranie, po czym wraz z torpedą skacze do wody.

Próba udaje się wyśmienicie. Ale Rosetti sam, może nie wystarczy do obsługi przyrządu. A nuż chwyci go w wodzie kurcz lub omdlenie? A nuż opuszczają go siły? Poszukuje więc towarzysza.

Zjawia się on w osobie młodego lekarza marynarki, nazwiskiem Paolucci. Obaj młodzi ludzie udoskonalają przyrząd, nazywają go „Mignatta” i szykują się do niebezpiecznego przedsięwzięcia.

31 października 1918 r., „Mignatta” zostaje na pokładzie włoskiego torpedowca przewieziona w pobliże Puli. Potem elektryczna motorówka holuje ją na odległość 1000 metrów od mola portowego. O godz. 22 Rosetti i Paolucci w swych gumowych strojach skaczą do wody i uciepieni do „Mignatty” powoli płyną ku brzegowi.

Z pokładu torpedowca i motorówki załogi spoglądają za nimi z niepokojem. Czy aby się uda? Czy aby ocaleją? Tyle niebezpieczeństw grozi: miny, sieci, stráže, kolce, zapory, działa, karabiny, woda, powietrze. Trzeba być nie lada śmiałkiem, by ważyć się na takie przedsięwzięcie...

Ale wiatr unosi srebrne bańki, powstałe na wodzie na skutek wydechu zgęszczonego powietrza, a noc zaciera rychło jasny szlak żywej torpedy.

Tym razem idzie lepiej. O godz. 22.20 „Mignatta” pod pływa do pierwszej zapory. Obaj oficerowie przełazą wierzchem, po czym dzięki specjalnemu przyrządowi przeciągają torpedę pod zaporą. Motor „Mignatty” działa sprawnie i bez najmniejszego szmeru.

Teraz zaczynają się trudności. Za pierwszą zaporą znajduje się pięć następnych, upstrzonych hiszpańskimi kozłami, stalowymi pikietami, drutem. Wspinac się na nie jest niemal niepodobieństwem. Oficerowie radzą sobie, jak mogą, to wynajdując łatwiejsze przejścia, to nurkując wraz z „Mignattą”. Pod gumowymi płaszczami pot obficie zalewa im ciało.

Na domiar złego wiatr poczyna wiać od lądu, a prąd znosi ich z powrotem. Oszczędzając skąpego zapasu zgęszczonego powietrza, płyną o własnych siłach, walcząc wytrwale. Cał po cału zdobywają przeszczer. Cztery i pół godziny trwa borykanie się z przeszkodami. Siły opuszczają śmiałków. Nawet zawodowy pływak miałby już dosyć. A tu trzeba jeszcze uważać na „Mignattę”, aby się nie wymknęła i nie poszła na dno. Wszak, by ją móc przeciągnąć pod zaporami, dano jej naumyślnie tak małą pływerność.

Godzina 3 rano. Nareszcie! Wszystkie zapory przebyte. Zaczyna padać deszcz. Z jednej strony to dobrze, bo ukryje on śmiałków przed oczyma straży. Z drugiej źle, bo utrudni orientację. Jak tu szukać austriackich drednotów w tak rozległym porcie?...

Jeszcze blisko dwie godziny mozolnych poszukiwań i przebywania w wodzie. O 4.50 Rosetti i Paolucci poznają wreszcie majestatyczną sylwetkę admirałskiego pancernika „Viribus Unitis”. Rosetti odcepił jedną z bomb i pod pływa do okrętu, podczas gdy Paolucci oczekuje opodal z „Mignattą”. Inżynier własnoręcznie zakłada bombę u dolnej części kadłuba, nastawia mechanizm zegarowy i oddala się.

Ale jeden z wachtowych usłyszał szmer. Alarm! Bieganina! Znów smugi światła reflektorów. Motorówka strażnicza pod pływa do miejsca, gdzie żywa torpeda z trudem utrzymuje się na wodzie. Nie chcąc zdradzić tajemnicy swego wynalazku, Rosetti skierowuje „Mignattę” ku stojącemu opodal krążownikowi pomocniczemu „Wien”.

Kilka srebrnych bańek na wodzie, głucho uderzenie, fontanna wody i potężny huk. „Wien” tonie, przecięty na pół. Motorówka wyławia z wody obu Włochów i zawozi na pokład „Viribus”. Podają się oni za lotników z wodnopławca, który miał za zadanie bombardowanie portu, lecz uległ katastrofie.

Niestety, czeka ich gorzkie rozczarowanie. Od poprzedniego ranka flota Austro-Węgier już nie istnieje! W nocy z 30 na 31 października Jugosłowiański Komitet Narodowy objął w posiadanie port i okręty. Stara Austria Habsburgów skończyła się. Sztuczny zlepek ludów rozpadł się. Admirał Horthy podał się do dymisji i złożył swe życzenia Jugosłowiańskiemu Komitetowi.

Bandera Jugosławii powiewa na rufie okrętów. A Rosetti i Paolucci nie posiadają się ze złości. Cały ich uporczywy wysiłek poszedł na nic. Ze też ich nie uprzedzono! Wszak radiostacja w Pula rozesała po całym świecie wiadomość o dokonanym przewrocie.

Przyjęci gościnnie i troskliwe, obaj oficerowie powoli odzyskują siły. Ale blachy stalowego pancernika parzą im stopy. Wszak pod ich nogami tkwi założona przez Rosettiego bomba. Wydaje im się, że słyszą cykanie jej zegarowego mechanizmu. A jeżeli wybuch nastąpi przedwcześnie?

— Która godzina? — pyta Rosetti.

— Wpół do szóstej — odpowiada jeden z oficerów pancernika. Nie ma chwili do stracenia. Mechanizm nastawiony jest na szóstą. Rosetti udaje się do komendanta i wyznaje mu całą prawdę. Sam jest zbyt wyczerpany, by nurkować w celu odcepienia bomby. Paolucci również goni resztkami sił, a może i nie odnalazby bomby? Poszukiwania przez załogę nie mają sensu. Każda minuta jest droga. Wybuch może nastąpić lada chwila!

Złoga z zalem opuszcza piękny pancernik, chlubę monarchii. A punktualnie o szóstej potężny huk wstrząsa murami Puli. „Viribus Unitis” kładzie się na bok i tonie w ciągu 10 minut. Obu Włochów odprowadzają na pokład pancernika „Habsburg” gdzie pozostają do zawieszenia broni, po czym zdrowi i cali wrócili do Italii.

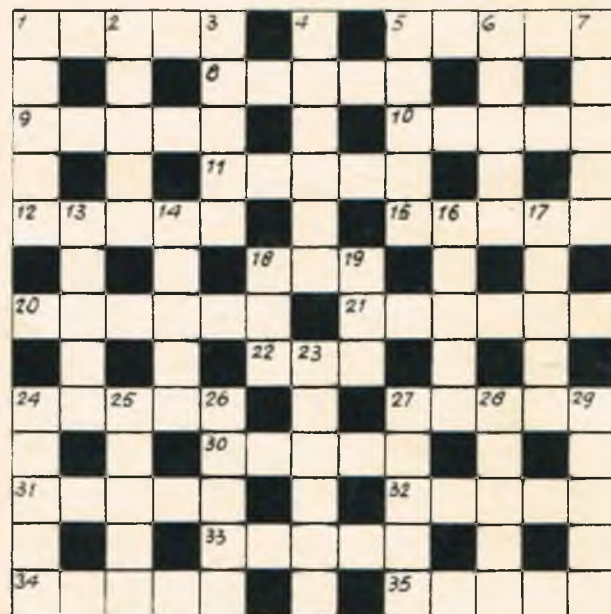
Wyczyn ich był ogromną rewelacją w dziejach pierwszej wojny światowej i dlatego warto było o nim przypomnieć.

## KRZYŻÓWKA NR 4

**POZIOMO:** 1) jedna ze stolic europejskich, 5) wrzawa, wrzask, 8) naturalny szlak wodny, 9) inaczej: barwa, 10) atrybut marszałka sejmu, 11) imię męskie, 12) nieodzwonny na przesyłce pocztowej, 15) typ aktora, 18) doniosły czyn, 20) należy do rodziny budowlanych, 21) opoka, podwalna, podpora, 22) angielska miara gruntu, 24) dawna srebrna moneta polska, 27) drzewo z kokosami lub daktylami, 30) siostra Balladyny, 31) władza umysłowa, 32) jacht lodowy, 33) rasa psa, 34) pospolity niewielki grzyb jadalny, 35) dramat muzyczny.

**PIONOWO:** 1) odłam religijny, 2) podpora architektoniczna, 3) artystyczny gobelin, 4) zrzęda, dziwak, 5) gra towarzyska, 6) pańska — ponoć na pstrym koniu jeździ, 7) marka fotoaparatów polskich, 13) choroba epidemiczna albo tytuł powieści Camusa, 14) rywalka wełny, 16) ubiór głowy biskupa, 17) wydzierżawienie, wynajęcie, 18) imię Cyganki z „Chaty z wsią”, 19) część bieżni, 23) osoba duchowna, 24) obcokrajowiec wśród naszych miast powiatowych, 25) błękit, 26) podwyższenie przy torze kolejowym ułatwiające załadunek wagonów, 27) imię Picassa, 28) wodze, 29) główna tętnica wychodząca z serca.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem: „Krzyżówka nr 4”. Wśród Czytelników, którzy nadesłają prawidłowe rozwiązania, rozlosowane zostaną nagrody książkowe.





Idziesz na zabawę, na przyjęcie, na wizytę do znajomych? — odśwież się, aby odeszło od Ciebie zmęczenie i znużenie, abyś świeżo, ładnie wyglądała i była „promienna”.

A więc: najpierw weź krótką kąpiel, najlepiej tusz pod

prysznicem. Przy okazji nie żałuj ciała szorowania szczotką, aż do zaróżowienia, aby ożywić obieg krwi.

Potem odpocznij 15—30 minut. Ale wykorzystaj ten odpoczynek, kładąc na oczy tamponiki waty, zamoczone w esencji herbacianej (zimnej) lub w roztworze kwasu borowego. Na resztę twarzy nałóż maseczkę. Jeśli masz, to tzw. błękitną (do nabycia w drogeriach), jeśli nie masz takiej pod ręką, to zrób sobie maseczkę sama. Na tłustą cerę — z białka. Białko ubić i rozbić rozsmarować palcem lub pędzlem po twarzy. Gdy zaschnie — zmyć wodą z dodatkiem soku z cytryny.

Na cerę spierzchniętą, skórę niedożywną — doskonale działa maseczka z żółtka. Żółtko rozbić z sokiem z pół cytryny, utartą skórką z ca-

łej cytryny i łyżeczką oliwy lub oleju sojowego. Papkę nałożyć na twarz i pozostawić co najmniej 20 minut. Potem delikatnie zmyć maseczkę tamponikiem waty maczanym w letnim mleku.

Po wypoczynku i zmyciu maseczek przystępujemy do makijażu twarzy. Można nałożyć na twarz, przy suchej ce-

## ODŚWIEŻ CERĘ!

rze, odrobinę kremu. Potem rozsmarować cieniuteńko podkład w kolorze skóry. Na podkład dajemy odrobinę różu, a następnie malujemy oczy. Tzn. lekko pociemniamy kredką brwi, szcieszając je szczoteczką. Następnie pociemniamy rzęsy i — komu w tym do twarzy — może poma-

lować cieniutką czarną, brązową czy granatową kreskę tuż nad linią rzęs, a na powieki nałożyć leciutko któryś z modnych kolorów, dostosowanych do koloru oczu: niebieski, zielony, kremowy, lub — na wielki bal — perłowy.

Na koniec malujemy usta i lekko przypudrowujemy nossek.

Umiejętny makijaż może bardzo podnieść urodę, ale... nieumiejętne „umalowanie się” może wszystko zepsuć i strasznie nas zeszpecić. Toteż zawsze lepiej malować się jak najdyskretniej, niż za mocno, a gdy się jest młodą i piękną, świeżą cerą, błyszczącymi oczami i świeżymi ustami — lepiej się nie malować i tylko — w razie potrzeby — przypudrować nossek, bo świeżość nie dodaje uroku. (Bella)

## ROZBIŁ SIĘ WAZON!

Czasem pamiątkowy, cenny wazon, kryształ, porcelanę, czy inną podobną rzecz tak się lubi, a nawet kocha, że jej rozbicie jest wielką przykrością. Nie chcemy się z tą rzeczą rozstawać, no ale jakże... przechowywać skorupy?

Naturalnie, że skorupy do których nie przywiązujemy żadnej wartości — ani sentymentalnej, ani materialnej, trzeba wyrzucić jak najprędzej do śmietnika, niech nie zawadzają i nie zasmiecają domu.

Cenne rzeczy trzeba sklejać.

Sklejać można: porcelanę, ceramikę, kryształy.

### JAK SKLEJAC?

Przed sklejeniem trzeba rozbitych rzeczy bardzo starannie umyć, wytrzeć do sucha i jeszcze — powierzchnie, które mają być klejone, niezmiernie dokładnie wymyć benzyną lub tri i już tych miejsc nie dotykać, broń Boże! palcami.

Zawsze kleimy tylko dwie części. Jak one się skleją i dobrze zaschną, doklejamy do nich następną. Dobrze jest ponumerować sobie rozbite kawałki i np. kleić nr 1 plus 2 oraz osobno 3 plus 4. Gdy te 4 kawałki skleją się na 2 części, wówczas sklejemy je razem itd.

### CZYM KLEIĆ?

Do klejenia porcelany używamy „Cristal-cement” lub kleje: „Uniwersalny”, „POW”, „Uniwersal-Cement”, „Syndetikal” i „Klejnot”.

Ceramikę sklejemy: „Butapren AN”, „Butakol”, „Butapren OBT III”, „Uniwersalny”.

Kryształy sklejemy: „Epidian 5”, „BWF 21”, „Butapren OBT III”.

Każdy z tych klejów smaruje się po oczyszczonej powierzchni (kancie skorupy) bardzo cieniutko — obie łączone części. Trochę się odczekuje, kilka minut, a następnie znowu nakłada cieniutką warstwę kleju i delikatnie dopasowując brzegi — gdy już są dobrze złożone — mocno dociska. Po kilku minutach ściskania w rękach ustawia się połączone części do zaschnięcia.

Praktycy robią to w ten sposób, że wkładają skorupę do miski z piaskiem, bo w niej stoi „na sztorc”. Gdy części schną, nie wolno ich ruszać, przynajmniej przez 6—8 godzin. Dopiero po tym czasie można do wyschniętych części dolepić dalsze kawałki.

Filiżanki, wazoniki, kubki itd. dobrze jest po sklejeniu obwiązać sznurkiem lub umocnić gumką, by się lepiej trzymały i nie przesuwały pod własnym ciężarem. Takie umocnienia dobrze jest pozostawiać na kilkanaście godzin, a nawet parę dni.

Czyszczenie nadmiaru kleju, usuwanie go żyłką, lepiej przeprowadzać dopiero po 7—10 dniach. „Skorupa” będzie jak nowa, ale zawsze już trzeba się z nią obchodzić delikatnie! (i).



### W LODÓWCE

Blżej zamrażalnika trzymaj tylko te produkty, które łatwo i szybko się psują, jak np. mięso, ryby, drób itp.

Najdalej od zamrażalnika trzymaj — oleje, majonez, owoce i jarzyny. Szczególnie majonez może uciepnieć w zbyt niskiej temperaturze; oddziel się olej od żółtka i trzeba będzie z łyżeczką musztardy ubijać na nowo.

Jajka też nie lubią zbyt niskich temperatur.

Mrożonki — jeśli chodzi o utrzymanie ich w stanie zamrożonym — trzeba przechowywać w zamrażalniku

lub w najniższej temperaturze w lodówce.



Miejsce między oknami często zastępują obecnie lodówki.

Trzeba pamiętać, że światło słoneczne szybko rozkłada witaminę A w produktach. Dlatego też kładąc między okna np. oleje, masło, mleko, śmietanę itp. — trzeba je dobrze owijać w papier, najlepiej czarny (co się da — trzymać w ciemnych butelkach), aby nie docierało do tych produktów światło dnia. Rozkład witaminy A i równocześnie — tłuszczów powoduje szybsze ich jęlczenie.

**Kamilla**  
radzi



**W**łoska kuchnia może nie jest tak smaczna jak nasza. Ale za to... jak Włosi umieją podawać jedzenie! Każdy włoski kucharz — to artysta! Ich półmiski to nieomal dzieła sztuki. A tace z kanapkami to wprost poemat barw, kształtów i smaczków.

Widziałam jak błyskawicznie młody kuchcik dekorował kanapki, które w sumie przypominały jakiś kwietny dywan. Aż... ślinka leciała i aż... szkoda było jeść, by nie popsuć tego bajecznego piękna.

Uczmy się więc i my\* przyrządzać kanapki-poematy. Tym bardziej, że jak twierdzą Włosi: „stół to pośrednik uczuć”.

#### Pieczyno do kanapek wykwiutnych,

powinno być przynajmniej w dwóch kolorach, np. biała bułka (barowa, a do mniejszych — białe rogaliki) i czarny pumpernikiel lub inny chleb razowy. Pieczywo nie może być zbyt świeże bo się trudno kraja, a krajać je trzeba cienko, równo i na jak najmniejsze kawałeczki (na jeden kęs). Jeśli pod ręką nie ma odpowiedniego pieczywa, a jest zwykły bochenek chleba, nieraz trzeba będzie z kromki odciąć skórkę i powycinać małe kawałeczki jednakowej wielkości.

Naturalnie, że z pośpiechu można po prostu z dużej kromki uciąć 3 kanapki.

#### Czym smarować?

Pieczyno smaruje się masłem, margaryną lub przyrządzoną specjalnie pastą.

Masło trzeba lekko rozgrzać, aby się dobrze rozsmarowało. Można też do masła dodać łyżeczkę musztardy lub szczyptę papryki, aby nabrało ostrości.

Do świetnych kanapek jednolitych należą tartinki z podzielonego wzdłuż na 3 części pumpernika, z których każdą smarujemy masłem lub świeżutką margaryną rozartą bardzo dokładnie z serem rockepolem. Kanapki będą pikantne.

## MODNE KANAPKI I KORKI

#### Jednolite kanapki

podaje się — po posmarowaniu masłem z: zimnym mięsem, z kawiozem, pa-sztetem, łososiem, sardynką. Ale już do sardynki dodaje się cieniutki kawałeczek plasterka cytryny, obranej ze skórki. Można też po prostu sokiem z cytryny skropić sardynkę.

#### Kanapki mieszane

składają się z różnych dodatków. Na posmarowane masłem tartinki układa się np. kawałeczek szynki, innej wędliny lub ryby, kawałeczek żółtego sera, posiekane białko (na twardo) i przetrte żółtko (na twardo), grzybek marynowany lub ogórek kiszony, czy korniszon. (Francuzka czy Włoszka nigdy na jednej kanapce nie miesza tych dwóch smaków: grzybka i korniszona). Poza tym może być też siekany szczypiorek, kawałeczek czerwonej papryki (kiszzonej lub marynowanej), listek pietruszki, odrobina siekanej rzęchuchy lub listek sałaty (specjalności niemieckie i amerykańskie), ponadto troszeczkę jakiejś „pasty z tubki” np. majonezu, musztardy, pasty serdelowej lub pomidorowej.

Z serów może być każdy ser żółty, pokrajany w paski a także bryndza, utarty na tarce serek-oscypek, czy serek ziołowy. Twarożek utarty z wędzoną rybą i masłem lub margaryną, to już inny rodzaj — sam dla siebie — kanapek z pastą. Ale i taką kanapkę dobrze jest przystroić siekaną zieleniną.

#### Jak układać dodatki na kanapkach?

Najważniejsze, aby ten sam układ dekoracyjny stale powtarzać na tych sa-

mym kanapkach. To znaczy, gdy np. układamy na kanapce po lewej stronie zwiniony platek szynki w rodzaj kielicha i w jego środek wkładamy odrobinę siekanego białka i przetrtego żółtka, a po prawej stronie kanapki kładziemy żółty ser, a na nim paseczek czerwonej papryki i korniszona — to już na reszcie kanapek powtarzamy wiernie ten sam wzór.

#### Jak układać kanapki na tacy?

Na tacę kładziemy zwykle białą serwetkę, a na niej układamy kanapki rzędami. W jednym rzędzie kanapki są identyczne, ale rzędy kanapek są różne. Np. białe mijają się z ciemnymi, jednolite z mieszanymi itd. Im większa różnorodność smaczków i układów — tym taca z kanapkami bardziej przypomina dekoracyjny kobieriec — „dzieło sztuki”. Pami czy pan domu może tu zabłysnąć swoją pomysłowością i... artyzmem.

Włosi i Amerykanie wprowadzili modę kanapek — nie-kanapek, bo tzw. koreczków. Koreczki obywają się bez pieczywa. Do najprostszych, ale i o niezwykłym smaku, należą np. korki z kostki żółtego sera, na której jest położona połówka orzecha włoskiego. Koreczek nabity jest na plastikowy patyczek, zwykle ozdobny (są takie i u nas).

Inny korek to kolejno: kostka sera, kostka szynki lub kiełbasy, krążek korniszona lub marynowany grzybek i na to jeden groszek z puszki. Znowu pomysłowość gospodarzy może tu stwarzać poematy smakowe. Korki podaje się ustawione na sztorc na małych, np. szklanych półmisekach.

U nas przyjęła się jeszcze jedna forma kanapek-korków. Otóż małe obwarzanki smaruje się, a raczej nakłada na jedną ich stronę np. bryndzę, lub pastę z twarożka. Lekko posypuje ten dodatek papryką w proszku lub siekaną zieleniną. „Uroda” tych kanapeczek polega na ładnym, pomysłowym ułożeniu ich na porcelanowym, czy szklanym półmisku. (I)

## Surówka piękności

Kiedy się wchodzi do salonu piękności Heleny Rubinstein w Nowym Jorku, pierwsza rzecz, jaka spotyka klientkę pragnącą poprawić swoją urodę — to poczęstunek. Trzeba zjeść małą porcję „surówki piękności”.

#### Cóż to jest?

Jest to świetna w smaku surówka z płatków owsianych i owoców. Naturalnie, że trzeba do niej dobrać płatki delikatne np. „górskie”, a owoce, prócz jabłek — sezonowe. Oto przepis w ilości na 1 osobę: 3 płaskie łyżki płatków owsianych zalać 4 łyżkami stołowym wody i 4 takimi łyżkami mleka. Wystarczy zalać na pół godziny, ale w praktyce dobrze jest zalać je wieczorem, na całą noc. Do płatków wsypać łyżkę cukru lub miodu i — jeśli nie ma cytryny — płaską łyżeczkę od-

czarnej kawy proszku cytrynowego. Zamieszać. Jeśli jest cytryna, to sok z połowki cytryny wciśnięmy przed podaniem surówki. Można też rozgnieść pastylkę wit. C i też ją dodać przed podaniem (zamiast soku cytryny lub proszku cytrynowego).

Na drugi dzień rano do miazgi z płatków, już rozmięczonych, dodajemy 1 utarte spore jabłko, ucięte wraz ze skórką na drobnej tarce. Ponadto dodajemy 15 dkg owoców sezonowych, najlepiej jagodowych. Np. o tej porze roku — rozmrożonych truskawek, porzeczek, czarnych jagód, jeżyn, wiśni — bez pestek lub posiekanych drobno śliwek itp.

Konieczny jest też dodatek choćby kilku orzeszków laskowych. Jeśli surówka ma być regenerująca siły lub tuczająca, to dodamy do niej 1-3 łyżek śmietanki lub mało kwaśnej śmietany. Wymieszać — podawać.

Surowe płatki owsiane zawierają 5-krotnie więcej wit. B niż gotowane. Niemal 8-krotnie więcej fosforu, wapnia i żelaza niż nieumiejętnie przyrządzone podczas

gotowania. Ponadto płatki zawierają sporo mikroelementów potrzebnych m. in. na porost włosów i utrzymanie... pięknej cery. Płatki zawierają również doskonale białko roślinne i — w stanie surowym, rozmięczonym, sporą ilość błonnika. Wprawdzie ten błonnik nie ulega strawieniu, ale dzięki niemu, jak i dzięki pektynie zawartej w jabłkach i innych owocach, surówka dość długo „zalega w żołądku” co daje na kilka godzin uczucie sytości. Kto zje taką porcję surówki rano, może już do końca godzin pracy nie odczuwać głodu.

Błonnik i jabłko mają też własności regulujące żołądek, co przy siedzącym trybie życia jest również sprawą niezmiernie ważną.

Owoce dostarczają witamin i soli mineralnych. Miód — jak wiadomo — dostarcza wspaniałych, natychmiast przyswajalnych cukrów, które doskonale wzmacniają serce. Ponadto miód działa bakterioobójczo, nie mówiąc już o różnych innych, dobrze nam wszystkim znanych zaletach miodu.

Orzeszki laskowe dlatego są koniecznym dodatkiem, żebyśmy surówkę nie lykali w pośpiechu, ale powoli żuli. A posiekane drobno orzeszki do tego żucia zmuszają. Pierwszy rozkład węglowodanów odbywa się w jamie ustnej, pod wpływem śliny, a raczej enzymu zawartego w ślinie (ptyalina). Jeśli tej ptyaliny dodamy sporo do każdej żutej porcji — surówka zostanie lepiej strawiona i przyswojona przez nasz organizm.

Sok z cytryny czy kwasek — to nie tylko dodatek smakowy; chodzi o wzbogacenie surówki w witaminę C.

Mleko i śmietana — poza innymi skarbami tego „najzdrowszego pokarmu świata” zawiera ciało odpornościowe, a te są nam jak najbardziej potrzebne, szczególnie w tym okresie, kiedy łatwo „łapiemy” choroby, zaziębienia i różne inne dolegliwości. Dlatego — radzę najżywciej — zrobić sobie kurację zimową z surówki piękności, noszącej jeszcze jedną piękną nazwę: „Muesli”. (ELA)

# ROZMOWY Z CZYTELNIKAMI

„Poganin” z Poznania opowiada przykre wydarzenie i wyciąga z niego (błędne, niestety) sceptyczne wnioski co do wartości nauki czy raczej zdobywania wykształcenia. Cytujemy:

„W dzień rozpoczęcia roku szkolnego działem powracających ze szkoły (liceum ogólnokształcącego) kilku młodzieńców (zapewne z klas wyższych), którzy niewłaściwie się zachowali wobec przechodzącego starszego człowieka z długą brodą. Wiem, że człowiek ten to inwalida mający niewładne dłonie obu rąk i prawdopodobnie dla zmniejszenia sobie trudów z goleniem, nosi brodę. I właśnie z przyczyny tej brody owi młodzieńcy z liceum nr 4 w Poznaniu drwili z człowieka wołając: „Daj brzytwę, ogolimy tego z brodą”. A inwalida spuścił smutno głowę i szybko ich minął wśród śmiechu”.

Opisany fakt wzbudza oburzenie na niestosowność zachowania się młodych ludzi, lecz nasz „Poganin” wyciąga z niego całkiem nieoczekiwany wniosek: Owi studenci zachowali się w ten sposób tylko dlatego, że się uczą. Precz więc z nauką, zwłaszcza że ją potępia Pismo św. Korespondent pisze: „Pismo św. zabrania wybranym Bożym ubiegać się o zdobycie nauki ludzkiej”.

“Z kolei Autor atakuje Kościoły w ogólności za to, że „zaleca wyznawcom swoim nauki ludzkie, aby kształtowali umysły swoje. jakby przez pomysł naukowe wypełniać mogli miłość bliźniego”.

Z treści i z tonu listu wolno wnioskować, że mamy znowu do czynienia z „zatruciem” Pismem świętym, czyli z jego fałszywym wyjaśnianiem i stosowaniem w życiu. Głównym źródłem podobnego nieporozumienia jest chyba... brak nauki, także „ludzkiej”, czyli szkolno-świeckiej. Nie znaczy to, że ze swej strony holdujemy etycznemu intelektualizmowi, który głosi, że człowiek wykształcony jest zawsze (musi być) szlachetny i dobry, a człowiek nie wykształcony zawsze jest (musi być) niemoralny i zły. Z tym poglądem też się nie zgadzamy. (Głosił go już kiedyś — w V w. przed n.e. — filozof grecki Sokrates). Z tej doktryny wyleczył ludzkość ostatnio hitlerizm, chlubiący się wysoką wiedzą i kulturą, ale bez etyki (hitlerowski Kulturtregerzy!). Cnota jest w środku. Należy na każdego człowieka oddziaływać z dwóch kierunków: a) z etycznego, moralnego uczącego szlachetnego życia i b) z kierunku intelektualnego, rozumowego, wzbogacającego wiedzę o świecie i rozwijającego umysł. O tej równowadze nie wolno zapominać, gdyż ludzie przekształcają się albo w inteligentnych chamów, albo w szlachetnych nieuków.

Pan Ignacy Bytowski z Raciborza uparcie wraca do sprawy biskupiego orędzia milenijnego skierowanego przed rokiem do biskupów w NRF. Najpierw stawia tezę, że rzymskokatolicki episkopat w Polsce chwalebnie i po Chrystusowemu postąpił, przebacząc Niemcom hitlerowskiemu za wyrządzone krzywdy, a następnie żąda, byśmy jeszcze z nim podyskutowali. Milczenie gotów uznać za naszą porażkę oznaczającą brak „argumentów” w obronie naszego stanowiska.

Nie zamierzamy wcale milczeć, gdyż jest to nadal ważny problem. Polscy chrześcijanie muszą wiedzieć, czy powinni rozgrzeszyć hitlerowców, czy też raczej nadal żądać dla nich kary. Na tym miejscu już kilkanaście razy zabieraliśmy w tej sprawie głos i zawsze twierdziliśmy z pełnym poczuciem odpowiedzialności, że chrześcijanie polscy mogą przebaczyć tylko tym nieprzyjaciolom, którzy okazali skruchę i potępiли swoje zbrodnie. Czytelnik z Raciborza jest innego zdania. Oto pisze: „Niech Bóg będzie naszym sędzią sprawiedliwym. A jeśli nasi bracia niemieccy nie chcą przyjąć pierwszej, to my w imię Chrystusa do nich się zwrócimy. Tak uczynili nasi Biskupi. A jeżeli wbrew oczekiwaniu ta braterska dłoń zostanie odrzucona, to mamy sumienie spokojne, że wypełniliśmy nakaz Chrystusa do końca. Wydaje mi się, że nie piszę znów takich niedorzeczności, żeby z nimi nie można było polemizować”.

Polemizować można i trzeba. Zwłaszcza teraz, gdy się okazało, że w listopadzie 1966 r. co trzynasty Niemiec w Hesji, a co ósmy Niemiec w Bawarii głosował na neo-hitlerowską partię NPD, powstałą w listopadzie 1964 r. Przypomnijmy jej kilka haseł podczas wyborów bawarskich: „Warto żyć i umierać tylko za strony rodzinne (Heimat,) naród i ojczyznę!” — „Germania dla Niemców!” — „Wrocław, Szczecin, Gdańsk to miasta odwiecznie niemieckie!” — „Niech żyje Wehrmacht wczorajszy i dzisiejszy!” — „Precz z procesami patriotów, bohaterów ostatniej wojny!” Osiem tysięcy Bawarczyków głosowało na te hasła w dniu 20 listopada 1966 r. — a więc w rok po wydaniu osławionego Orędzia przebaczenia. A Bawarczycy — wiadomo — lud odwiecznie rzymskokatolicki, posłuszny swoim proboszczom, biskupom, kardynałom czyli tym wszystkim, którzy znają doskonale Ewangelię i Chrystusową zasadę o przebaczeniu nieprzyjaciolom. W tym jednak rzecz, iż owi przywódcy duchowi, sami nie uderzywszy się w piersi za kolaborację z Hitlerem, nie pouczyli swoich owieczek o obowiązku miłości bliźniego mieszkającego za granicą-

mi Niemiec, nie poinformowali ich dotychczas o ogromie wyrządzonych przez Niemcy hitlerowskie krzywd innym narodom, nie potępił zaborczości, narodowego szowinizmu i pogardy dla innych narodów.

Czytelnik „Rodziny” z Krakowa, pyta, dlaczego z jednej strony czcimy różnych świętych (Teresę, Antoniego, Franciszka i in.) kanonizowanych przez papieża, a z drugiej strony odrzucamy papieża i jego nieomyślność. „Widzę, że jesteście niekonsekwentni” — stwierdza.

Ta nasza niekonsekwencja to chyba złudzenie „optyczne”. Jesteśmy konsekwentni we wszystkim, a więc i w kulcie świętych. Tajemnica nasza polega na tym, że różnych porządnym ludzi czcimy nie dlatego, że ich papież kanonizował, ale dlatego, że byli to ludzie porządni i godni naśladowania. Jest bardzo wielu świętych, których nie czcimy, chociaż zostali z szumem „wyniesieni na ołtarze” rzymskokatolickie np. Stanisław ze Szczepanowa, Andrzej Bobola, Józefat Kuncewicz i in.). Jest też bardzo wielu porządnym ludzi, których czcimy, chociaż papież ich potępił (Waldo, Jan Hus, Hieronim Sawonarola i in.). A więc jesteśmy konsekwentni: Czcimy świętość — a nie dekrety papieskie.

Korespondent z Krakowa jednak nie ma na tyle dobrej woli, aby chcieć zrozumieć to wyjaśnienie. Wcale zresztą nie zależy mu na jakichkolwiek wyjaśnieniach. To tylko pretekst do kolejnych wymyślań. Stwierdziwszy, że w kulcie świętych i odrzucaniu papieskiej nieomyślności jesteśmy niekonsekwentni — nie czekając na nasze wyjaśnienia — orzeka: „Prowadzicie dwulicową politykę!” A dalej tak to uzasadnia: „Z jednej strony głosicie dialog z Kościołem rzymskokatol., a z drugiej wylawiacie strony ujemne tego Kościoła...” Jaki jego wniosek? Oto cytujemy: „Zamieście swoją rubrykę Rozmowy z Czytelnikami na odpowiedzi z dziedziny Biblii, a nie wylewajcie pomysł na bliźnich, o których mówicie przecież, że trzeba ich kochać... Niech Was Duch św. oświeci, byście wreszcie zaprzestali swojej rozbijackiej roboty. Właśnie za Wasze jątrzenie religijne powinni Was pozamykać nawet według praw obowiązujących w Polsce Ludowej... Już dawno miałem Wam to powiedzieć, bo mnie krew zalewa, kiedy widzę Wasze zakłamanie...”

Przyznajemy, że tchórzliwy (nie podał adresu!) Czytelnik z Krakowa jest konsekwentny, ale... w nienawiści. Chrystus nakazał dobrze czynić tym, którzy nas nienawidzą, więc czujemy się w obowiązku najpierw przebaczyć naszemu bratu z Kościoła „wojującego”, a następnie uczynić mu „dobrze” przez pouczenie, że nienawiść jest złym doradcą. Całkowicie się zgadzamy, że dla „dobrej” Kościoła rzymskokatolickiego władze Polski Ludowej powinny nas „pozamykać”, podobnie jak to robiły władze Polski endecko-sanacyjnej. Jednakże po wydanym przez ostatni Sobór Watykański dekrete „O wolności religijnej” chyba raczej nie zgodziłby się na to Ojciec święty, cierpliwie czekający na powrót zbłąkanych „braci odłączonych”, których może już nie należałoby za „heretyckie” czy „rozbijackie” błędy „pozamykać”...

Wydawca: Instytut Wydawniczy „Odrodzenie”. Redaguje Kolegium. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Tel. 28-97-84; 29-26-43. Warunki prenumeraty: Prenumeratę na kraj przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz Oddziały i Delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100020 - Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty: kwartalnie - 26 zł, półrocznie - 52 zł, rocznie - 104 zł. Prenumeratę są zagranicę, która jest o 40% droższa - przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 20-46-88, konto PKO Nr 1-6-100024. (Roczna prenumerata wynosi: dla Europy 75, 19,70 DM, 23,40 NF, 1.13,6 L; dla St. Zjednoczonych i Kanady 75; dla Australii 2,10,5 L.A. 20,4 L.E.). Można również zamówić prenumeratę, dokonując wpłaty na konto Wydawnictwa Literatury Religijnej PKO Nr 1-14-147290. Nie zamówionych rękopisów, fotografii i ilustracji redakcja nie zwraca.



# TARNOWSKIE GÓRY

**P**arę wieków wstecz hulał tu wiatr po leśnych ostępach, a kurne chaty wiosek Tarnowice, Sowice, Lasowice zamieszkiwał pańszczyźniany chłop. Aż pewnego dnia nastąpiło wydarzenie, które zmieniło dotychczasowy stan. Gnając swe stado pastuch Rybka ujrzał błyszczącą dużą bryłę leżącą w trawach. Srebro! krzyknął uradowany i pognał z radosną nowiną do wsi. Wieść szybko rozniosła się po okolicy i dotarła do olkuskich i bytomskich górników, którzy ruszyli po nowo odkryte srebrne runo. Miało to ponoć miejsce około roku 1490. W roku 1519 powstały tu pierwsze 3 osady, które szybko zrosły się w jedno miasteczko.

Ostatni Piast Opolski książę Jan w r. 1526 wspólnie ze swym sukcesorem margrabią brandenburskim i księciem karniowsko-bytomskim Jerzym Hohenzollernem, nadał ziemiom Górnego Śląska wolność górnictwa, co było równoznaczne z nadaniem praw miejskich dzisiejszym Tarnowskim Góróm. Inny dokument z r. 1529 wydany przez księcia Jana zezwalał tamtejszemu urzędowi górnictwu na używanie pieczęci, a miastu nadaje herb. W kilkanaście lat potem Fryderyk margrabia brandenburski rozszerzył przywileje miejskie.

Po śmierci ostatniego Piasta, Tarnowskie Góry uległy germanizacji, a powodem tego były rządy Hohenzollernów i napływ niemieckich urzędników, górników, sztygarów. Kopalnictwo zaczęło się rozwijać, dzięki nowym na one czasy metodom, a brać górnictwa łączyć się poczęła w związki gwarcieckie. Jednym ze sławniejszych gwarków był Jakub Rapp, który wybudował nową sztolnię „Jakub” w r. 1563. W r. 1567 powstały sztolnie: „Krakow-

ska” budowana przez gwarków krakowskich i olkuskich, „Daru Bożego”, „Imienia Pańskiego”, „Bożej Pomocy”, „Sztolnia Tarnogórska”. Sztolnie te, liczące setki metrów ciągnęły się pod murami miasta.

Obchodzone rokrocznie „dni tarnogórskie” nawiązują do dawnych tradycji gwarków. Wtedy to w kolorowym pochodzie widzimy rajców miejskich, słynnego winiarza Sedlaczka, pastucha Rybkę a nawet Jegomościa Króla Jana III Sobieskiego, który kiedyś tu bałwił przejazdem.

Wśród licznych zabytków na terenie miasta, nad którymi opiekę sprawują władze i Stowarzyszenie Miłośników Historii i Zabytków Ziemi Tarnogórskiej, godne uwagi są stylowe kamieniczki w rynku, a wśród nich dawna winiarnia Sedlaczka. W tej winiarni gościł ponoć Jan III Sobieski, August II, August III, Goethe i J. U. Niemcewicz. W najstarszym budynku miasta tzw. „domu Florczaka” mieścił się pierwszy urząd górnictwa, ważna i pomocna ówczesnym gwarkom instytucja. Jest też „dom Łukasika” z wmurowaną bryłą kruszcu srebrnonośnego

Tu w starym przemysłowym mieście, przeszło miecza się z teraźniejszością. Po wojnie odbudowano i wybudowano wiele nowych zakładów przemysłowych. Do większych zaliczyć należy: Śląskie Zakłady Przemysłowe, wykonujące aparaturę chłodniczą i chemiczną, Zakłady Chemiczne, Fabrykę Urządzeń Górniczych, Fabrykę Sprzętu Ratunkowego, Zakłady Sprzętu Maszyn Elektrycznych, Fabrykę Wyrobów Metalowych, i in. Miasto liczy około 30.000 mieszkańców, posiada wiele obiektów sportowych. (ch)

